

*Sergio  
Bambaren*

# *Dalekie Wiatry*

*Przetłóżył  
Tomasz Bieroń*

**ZYSKI S-KA**  
**WYDAWNICTWO**

## PRZEDMOWA AUTORA

Pytanie to słyszałem nie raz po napisaniu *Delfina* i *Beach of Dreams*: Co dalej, Sergio? Co teraz szykujesz?

Mówiłem, że napisałem wszystko, co miałem do powiedzenia. Opowiedziałem historię wyjątkowego przyjaciela, którego znalazłem, surfując samotnie po moim ukochanym morzu, przyjaciela, który pokazał mi, że najważniejszą rzeczą w życiu jest iść za swoimi marzeniami. Napisałem również historię poznanego przed laty mądrego człowieka, który wyjawiał mi tajemnice prawdziwego szczęścia.

Miałem 37 lat i większość czasu poświęcałem badaniu i ochronie mórz oraz ich fauny i flory. A ponieważ szczerze uważałem, że powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia, sądziłem, że moje dni jako pisarza minęły.

Ale potem coś się wydarzyło. Im bardziej się angażowałem w surfowanie i pływanie z delfinami, tym wyraźniej słyszałem głos dochodzący z wewnątrz, wyszeptujący myśli, które musiałem poukładać i podzielić się nimi z innymi ludźmi. Tak zrodziły się *Dalekie Wiatry*.

Wkraczamy w nowe tysiąclecie i jestem przekonany, że coraz więcej osób uświadamia sobie, jak ważna jest realizacja marzeń. Dopiero wtedy ich wyjątkowość stanie się widoczna dla innych. Tego mnie nauczył pan Blake, stary antykwariusz: że podróż prowadząca do poznania nas samych zaczyna się od wewnątrz, a kończy na rzeczach, które robimy, aby wzbogacić

życie innych ludzi. Tylko dając i ucząc się brać, możemy utrzymywać szczerze i pozytywne stosunki z bliźnimi.

Mogę zagwarantować swoim własnym doświadczeniem, że o naszej wielkości decydują marzenia, które staramy się spełnić, oraz że niezależnie od tego, co słyszymy albo doświadczamy z innymi w tej podróży zwanej życiem, jeśli będziemy z całego serca dążyli do realizacji marzeń, to nadamy naszemu życiu głęboki sens i prawie na pewno osiągniemy to, co sobie na początku zamierzaliśmy. Tego się nauczyłem, żeglując przez południowy Pacyfik, „ulubione miejsce Boga”, jak to nazywają, z Gail, która nie przeleżała się najstraszliwszych burz, jakie w życiu spotkaliśmy.

Mamy tylko jedno życie. Ale to jedno życie, którym zostaliśmy obdarowani, możemy przeżyć w ten sposób, że na końcu drogi doznamy uczucia, iż mieliśmy ich tysiąc.

I do tego celu w moim przekonaniu powinniśmy dążyć ze wszystkich sił.

## *Prolog*



**O**STROŻNIE zamknąłem drzwi kabiny naszego jachtu, żeby poranne słońce nie obudziło Gail, która nareszcie zasnęła. Oboje spaliśmy jak zabici przez bodaj dwanaście godzin i kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem nieruchome wody zatoki Waitemata koło Auckland, słońce wyzierające zza wysokich zielonych gór — jego złociste promienie tańczyły po roziskrzonej wodzie — i ptaki, które śmigały wysoko po niebie. Trudno było uwierzyć, że na tę zatokę, teraz taką spokojną, niedawno spadała potworna burza.

Straciliśmy podczas sztormu większość rzeczy, próbując wpłynąć do zatoki Waitemata. Kiedy wiatr zalewał nam oczy słoną wodą, prawie nas oślepiając, Gail i ja ze wszystkich sił trzymaliśmy się „Dalekich Wiatrów”, naszej ukochanej żagłówki, która zabrała nas w magiczną podróż po południowym Pacyfiku...

Wszystkie sprzęty i większość rzeczy osobistych poszło za burtę, żeby „Dalekim Wiatrom” łatwiej było utrzymać się

na powierzchni, ponieważ pompy nie nadążały z usuwaniem wody zalewającej zęzę.

Życie mignęło nam przed oczyma, ale walcząc z gniewem natury, nie rozstaliśmy się z najcenniejszym składnikiem naszego dobytku — daliśmy słowo, że dowieziemy go do końca podróży. Teraz, zmęczony, poobijany i wyzuty z sił, patrzyłem na stare drewniane pudełko ze złotą kłódką, w którym znajdował się nasz skarb.

Starannie wytarłem stare pudełko miękką szmatką, żeby do środka nie dostała się słona woda. Potem zdjąłem z szyi sznurek i przyjrzałem się kluczowi. Miałem wrażenie, że przez zielony klejnot u góry przepływa światło słońca. Wstrzymałem oddech, pomodliłem się do Boga i włożyłem klucz do kłódki. Delikatnie przekręciłem klucz w prawo i kłódka się otworzyła. Poniosłem wieczko i wyjąłem klucz. Uśmiechnąłem się i wyjąłem książkę, która znajdowała się w środku. Otworzyłem na pierwszej stronie i przeczytałem:

Michaelowi i Gail Thompsonom z Auckland.  
Wypłynęli z Nowej Zelandii, 3 marca 1998 r.,  
na pokładzie „Dalekich Wiatrów”,  
w podróż duchowego odkrycia.

*Niech wasze dni będą pełne szczęścia,  
Niech wasze noce będą pełne marzeń;  
Niech te marzenia po przebudzeniu  
przyniosą wam magię, która na was czeka.*

*Niech wasze marzenia się spełnią,  
a potem staną się słodkimi wspomnieniami.  
Których nigdy nie zapomnicie...*

Thomas Blake

Patrzyłem na te słowa i sięgnąłem pamięcią wstecz. Wydawało mi się, że to było wczoraj, kiedy stary antykwariusz dał mi swój najcenniejszy skarb. „To było prawie osiem miesięcy temu”, pomyślałem.

Jak mogliśmy sobie wyobrazić, Gail i ja, wszystkie równoległe światy, które przez ten czas odkryliśmy, wszystkie wyzwania, które życie miało przed nami postawić, wszystkie te momenty, kiedy musieliśmy narażać się na wielkie niebezpieczeństwo, aby bronić tego, w co wierzyliśmy? I czy mogliśmy wiedzieć, jak bardzo znowu nas to do siebie zbliży, tak że jedno stanie się lustrzanym odbiciem drugiego?

Było ciężko, ale teraz, kiedy staliśmy bezpiecznie w porcie, a Gail spała snem aniołów, wiedziałem, że odbyliśmy bardzo szczególną podróż życiową, pielgrzymkę do ponownego odkrycia siebie samych, pomyślnie przeszliśmy prawdziwą próbę charakteru, która ocaliła nasz związek i naszą miłość. Wiedzieliśmy, że musimy podzielić się tym doświadczeniem z innymi, tak jak my poszukującymi prawdziwego sensu życia.

Zobaczyłem w kluczu swoje odbicie. Twarz, która na mnie patrzyła, wydawała się twarzą zupełnie innego człowieka. Miałem teraz brązowe włosy i jasną, gładką cerę, całkowite przeciwieństwo dawnych siwych kosmyków i plamistej, po-

marszczonej skóry. Zniknęły zmarszczki spowodowane przez stresujące wieczory i odcyfrowywanie zmrużonym okiem drobnego druku umów i licencji. Czy to możliwe, że ta osoba, która wygląda na wysportowanego dwudziestoparolatka, naprawdę jest brzuchatym mężczyzną w średnim wieku?

Schowałem klucz do kieszeni, włożyłem książkę z powrotem do pudełka i delikatnie zamknąłem wieczko. Mieliliśmy mnóstwo czasu na opowiedzenie świata o naszych doświadczeniach. Teraz był czas zająć się Gail, moją ukochaną żoną, kobietą, którą kiedyś prawie straciłem, w sensie osobistym i duchowym, ale teraz odkryłem ją ponownie na zawsze...

to miejsce najgorsze, wciśnięte w kąt razem z farbami i miotłami, mimo że niskim kosztem generowałem dla firmy najwięcej dochodów, od kilku lat pracując dla niej jako doradca finansowy. Otworzyłem drzwi samochodu i natychmiast potknąłem się o deskę, którą ktoś tam zostawił przez nieuwagę. Boże, jak ja nienawidziłem swojej pracy!

Ale człowiek do wszystkiego może się przyzwyczaić, jeśli będzie miał dostatecznie dużo czasu, aby zapomnieć o swojej prawdziwej naturze. Były czasy, kiedy wierzyłem, że wszystko jest możliwe i któregoś dnia podbiję świat. Teraz robiłem coś, co nie miało nic wspólnego z moją naturą marzyciela. A może już z niej wyrosłem? Czy istnieje zasada, że kiedy stajemy się dorośli i musimy spojrzeć w oczy rzeczywistości, zapominamy o marzeniach z dzieciństwa?

Przeszedłem przez parking do schodów i ruszyłem na górę. Liczne zakręty spiralnych schodów i konieczność wytężania wzroku, żeby się nie potknąć na ciemnych stopniach oświetlonych wiszącymi co trzy metry żarówkami, wzmagaly mój ból głowy. Dotarłem pod drzwi biura, otworzyłem je i wszedłem do środka.

Zgodnie z przewidywaniami czekała na mnie wysoka sterta papierów. Usiadłem za biurkiem i zacząłem przeglądać pocztę, która nadeszła w piątek po moim wyjściu z pracy albo została doręczona przez kuriera przez weekend. Z jakiegoś sprzecznego z prawami przyrody powodu im szybciej uprzątałem papiery, tym szybciej rosła ich sterta. Taki chyba jest los pracusiów.



Moje biuro znajdowało się na osiemnastym piętrze wysokiego budynku z widokiem na zatokę Waitemata. Takie usytuowanie budynku miało swoje zalety i wady. Ocean zawsze mnie fascynował i mógłbym przez cały dzień podziwiać tę fantastyczną panoramę. Czasami ogarniało mnie jednak wrażenie, że spędzam dni w złotej klatce, tylko patrząc, jak piękno przechodzi obok mnie, a ja nie mogę się nim naprawdę cieszyć ani nie jestem jego częścią. Zawsze miałem w sobie żylkę podróżnika i chociaż kiedyś trochę podróżowałem po moim kraju i Australii, ostatnio byłem zajęty pracą, siedziałem od rana do wieczora w biurze i nawet w weekendy nie opuszczałem Auckland, ponieważ moja żona pracowała w większość sobót i niedziel. Chociaż uważałem, że ciężka praca nie jest przestępstwem, to dręczyło mnie poczucie, że marnuję cenny czas mojego życia, który powinienem przeznaczyć na inny cel.

Na jednej ze ścian mojego biura, pomalowanego na pastelowy beżowy kolor, wisiała stara mapa świata. Choć mało szczegółowa, zawsze przypominała mi o miejscach, o których istnieniu wiedziałem, o których czytałem w pismach podróżniczych, które widziałem w telewizji i które zawsze chciałem odwiedzić, ale z moich planów jakoś nigdy nic nie wyszło.

Kupiłem tę mapę w starym antykwariacie pana Blake'a naprzeciwko budynku, w którym pracowałem. Lubiłem szperać w starych książkach, które patrzyły na mnie z półek tego małego, lecz dobrze zaopatrzonego antykwariatu. Od czasu do czasu znajdowałem książkę, która przykuwała moją uwagę,

kupowałem ją i czytałem w tych chwilach samotności, które tak bardzo lubiłem: siedziałem na werandzie swojego domu i patrzyłem, jak słońce zanurza się w granatowym oceanie.

Skończywszy jakąś umowę, postanowiłem pójść do antykwariatu pana Blake'a, ale na korytarzu wpadłem na szefa, który spytał, czemu wychodzę tak wcześnie. Doszło do kolejnej ostrej kłótni. Człowiek ten zjawił się dziesięć dni wcześniej i emanował takim poczuciem wyższości, że czasem miałem ochotę dać mu w twarz. Ale byłem przecież w pracy, dzięki której zarabiałem na chleb. Zacisnąłem zęby, posłusznie wróciłem za biurko i zaczekałem, aż minie ostatnie pół godziny.

Z chwilą kiedy zegar zakomunikował, że jest ósma wieczór, ponownie wyszedłem na korytarz, zbiegłem na dół i udałem się do antykwariatu pana Blake'a. Jak zwykle zacząłem spacerować między starymi półkami w poszukiwaniu jakiegoś interesującego tytułu.

Moją uwagę zwróciła książka na jednej z niższych półek:

*Tańcz do własnej muzyki. Wiersze filozoficzne autorów  
nowożytnych i klasycznych.*

Tom zawierał krótkie wiersze różnych poetów. Zacząłem od utworu Henry'ego Davida Thoreau:

*Na cóż ta rozpaczliwa  
pogoń za sukcesem*

*i to w tak rozpaczliwych przedsięwzięciach?*

*Kto nie dotrzymuje kroku*

*swym towarzyszom, ten może...*

— ...*ten może słyszy innego dobosza. Niechaj maszeruje w takt swojej muzyki, nieważne, skąd ona przychodzi i jaki jest jej rytm.* Doskonały wybór, panie Thompson. Thoreau często nam przypomina, jak ważne jest, abyśmy sami wybrali swój los.

Spojrzałem na niskiego mężczyznę z długą siwą brodą, w starych okularach z grubymi szklami, w jasnobrązowym garniturze, który najlepsze lata już dawno miał za sobą. Człowiek ten odwrócił się i zaczął odkurzać książki ze sterty oznaczonej „przecena”.

Pan Blake pracował w swoim antykwariacie od niepamiętnych czasów. Starość w dużym stopniu odebrała mu wzrok, ale pamięć miał doskonałą. Wyrzał przez witrynę, która oddzielała jego mały antykwariat od świata zewnętrznego.

— Proszę otworzyć na stronie dziewiętnastej, panie Thompson — powiedział — a znajdzie pan kolejną wielką prawdę pochodzącą od naszego przyjaciela Thoreau.

Postąpiłem zgodnie z jego instrukcją. Na stronie dziewiętnastej znajdował się krótki wiersz:

*Poszedłem do lasu albowiem  
chciałem żyć świadomie,  
mieć do czynienia wyłącznie*

*z zasadniczymi elementami bytu.  
Chciałem sprawdzić, czy nauczę się tego,  
czego życie może nauczyć,  
nie zaś dowiem się przed śmiercią,  
że nie żyłem.*

Pan Blake utkwiał we mnie wzrok.

— Da pan wiarę, że za życia Henry'ego Davida Thoreau jego idee nie zawsze cieszyły się szacunkiem? Dopiero po jego śmierci ludzie zaczęli sobie uświadamiać znaczenie człowieka, który porzucił ludzi i wszystko, co posiadał, by na ponad dwa lata pójść do lasu i spróbować się dowiedzieć, co jest naprawdę w życiu ważne. Ale czy nie zawsze tak jest?

— Nie rozumiem — odparłem.

— Czy nie zawsze tak jest, że bardziej cenimy zmarłych niż tych, którzy jeszcze żyją? Znacznie łatwiej jest zrobić bohatera z kogoś, o kim tylko słyszeliśmy, ale nie znaliśmy go osobiście. Może robimy z nich bohaterów dlatego, że nie widzimy ich ludzkiego wymiaru, nie zdając sobie sprawy, że byli w takim samym stopniu ludźmi co wszyscy.

Uśmiechnąłem się.

— Zawsze z przyjemnością pana słucham, panie Blake. Nie uwierzy pan, jakie to wspaniałe uczucie przyjść do pana antykwariatu po długim i nudnym dniu w biurze i zapomnieć o tym wszystkim.

— Miło to usłyszeć. Dziękuję panu, panie Thompson.

— Myślę, że wezmę tę książkę — powiedziałem.

Podałem ją panu Blake'owi i ruszyłem w stronę wyjścia, gdzie obok sterty zakurzonych książek królowała stara kasa.

— Dam panu tę książkę po specjalnej cenie, panie Thompson. Myślę, że się panu spodoba.

— Serdecznie panu dziękuję, panie Blake!

Wyjąłem z portfela pieniądze i wręczyłem antykwariuszowi. Zardzewiała kasa wydawała z siebie takie dźwięki, jakby to miała być ostatnia transakcja w życiu tej starej maszyny.

— Dziękuję, panie Blake. Do widzenia.

Otworzyłem drzwi i przekraczałem już próg, kiedy pan Blake zapytał:

— Dlaczego, panie Thompson?

Zatrzymałem się na zewnątrz, przytrzymując szklane drzwi, i odwróciłem się ku niemu.

— Co dlaczego?

— Dlaczego to jest takie wspaniałe uczucie przyjść tutaj po pracy? Czyżby to, co pan robi w ciągu dnia, nie sprawiało już panu przyjemności?

— I tak, i nie — odparłem. — Nie mogę narzekać na moją pracę. Dobrze zarabiam i w gruncie rzeczy lubię to, co robię. Tylko że czasem zadaję sobie pytanie, czy już nic innego nie będę w życiu robił, a rutyna wzbudza we mnie poczucie, że chciałbym robić coś dającego większą satysfakcję, niekoniecznie finansową. Coś, co nadałoby mojemu życiu większy sens, co wzbogaciłoby moje życie i życie innych. Za każdym razem, kiedy otwieram jedną z tych książek, uświadamiam sobie, że mógłbym żyć zupełnie inaczej. Czytając o tych wszystkich

miejscach, w które mógłbym się udać, ludziach, których mógłbym poznać, i rzeczach, których mógłbym się dowiedzieć, żałuję, że nie mogę wyrwać się na jakiś czas z codziennej rutyny i spróbować zobaczyć świat. Nie wiem dlaczego, ale czasami mam poczucie, że omija mnie coś bardzo ważnego.

— To czemu pan tak nie robi? — zapytał.

— Przede wszystkim dlatego, że już zainwestowałem w moją pracę mnóstwo czasu i zaoszczędziłem sporo pieniędzy, które zapewnią Gail i mnie bezpieczną starość, naszym dzieciom dobre wykształcenie i...

— Strona czterdziesta dziewiąta, panie Thompson.

— Proszę?

— Niech pan otworzy książkę, którą pan właśnie kupił, na stronie czterdziestej dziewiątej.

Wyjąłem książkę z papierowej torby i otworzyłem na stronie czterdziestej dziewiątej. Był tam kolejny krótki wiersz: „*Kto...*

— *... odważnie zmierza drogą swoich marzeń i pragnie żyć życiem, które sobie wymyślił, zazna sukcesu, którego na co dzień nie można oczekiwać*”. — Uśmiechnął się. — Pański przyjaciel Thoreau znowu trafił w dziesiątkę, panie Thompson.

Poczułem się trochę zakłopotany. Wygodnie mi było myśleć o swoich marzeniach jako o czymś nieosiągalnym, przynależnym do czasów młodości, jako o marzeniach, które ma większość ludzi, ale nie mogą albo nie chcą ich zrealizować. Teraz jednak musiałem zmierzyć się z faktem, że ktoś naprawdę to zrobił. Skłębione we mnie uczucia i świerzbienie skóry

powiedziało mi, że pan Blake i Henry David Thoreau dotknęli jakiejś struny w moim sercu. Uświadomili mi, że odkryli coś wyjątkowego — coś, o czego istnieniu wiedziałem, ale sądziłem, że jest to dla mnie nieosiągalne. A może jednak da się to osiągnąć?

— Może szukał pan sobie wymówek, żeby nie zrobić tego, co powinien pan zrobić, panie Thompson. Może przyszedł na to czas — powiedział pan Blake, zakładając okulary ruchem typowym dla antykwariuszy. — Tak czy owak życząc przyjemnej lektury.

Odwrócił się i poszedł pomóc innym klientom.

— Dziękuję, panie Blake.

Włożyłem książkę do papierowej torby, którą schowałem do kieszeni płaszcza, po czym ruszyłem w stronę samochodu. Czas szybko płynął i Gail mogła zacząć się o mnie martwić. Taką przynajmniej miałem nadzieję, bo nasz związek przeżywał kryzys. Stało się to jakby poza naszą wolą, byliśmy oboje tak zapracowani, że nasze małżeństwo nie wydawało się już takie ważne.

## *Rozdział II*

**N**IE BYŁEM przygotowany na romantyczną scenerię, która czekała na mnie w domu: na stole zapalone świece, butelka szampana w kubełku z lodem, parująca lasagne i świeżo ugotowane warzywa, domowa uczta.

— Wszystkiego najlepszego z okazji piątej rocznicy ślubu, Michael! — powiedziała Gail.

Nie potrafiłem ukryć zaskoczenia. Od razu to zauważyła.

— Nie pamiętałeś! — krzyknęła ze złością.

Dostrzegłem ból w jej oczach.

— Przepraszam, Gail, ale ostatnio jakoś nic mi nie wychodzi. Nie potrafię myśleć. Miałem kolejny okropny dzień w pracy i jestem za bardzo zmęczony, żeby normalnie myśleć, a co dopiero...

— Ja też miałam ciężki dzień w biurze, ale pamiętałam o rocznicy ślubu, przyjechałam w te pędy do domu i przygotowałam to wszystko dla ciebie!



Pobiegła z płaczem na górę. Poszedłem za nią.

— Przepraszam cię, kochanie.

— Kolejna kłótnia z nowym szefem? — spytała.

— Tak, Gail — odparłem. — Chyba nigdy się z nim nie dogadam, naprawdę się staram, ale Boże, ten człowiek jest nie do wytrzymania!

— Coś jeszcze?

— Nie, czemu pytasz?

— Poznaję po twoich oczach.

— Co tam widzisz?

— Że myślisz o czymś, co domaga się od ciebie odpowiedzi.

Miała rację. Gail zawsze dobrze mnie znała i była to jedna z rzeczy, które najbardziej w niej ceniłem. Bez problemu umiała przejrzeć ludzi na wskroś tymi swoimi pięknymi zielonymi oczami, przeczytać ich myśli.

Poznaliśmy się na ostatnim roku studiów z zarządzania i od pierwszej chwili poczuliśmy silne magnetyczne przyciąganie, które nie osłabło przez minione osiem lat. Czułem się tak, jakbym wygrał los na loterii. Mama powiedziała mi kiedyś, że pierwsza miłość na zawsze zmienia życie człowieka. Miłość ta pozostanie na dnie jego duszy aż do śmierci.

„Natychmiast się zorientujesz, że to jest to — powiedziała — bo kiedy spojrzysz na tę kobietę po raz pierwszy, świat wokół niej zblaknie”.

To uczucie, to błogosławieństwo, ta miłość dla mnie miała na imię Gail. Była uderzająco piękną kobietą, z brązowymi

włosami, cudownym uśmiechem i oliwkową skórą, ale to jej oczy, ciemnozielone oczy pozwalające zajrzeć w słodycz jej duszy, na zawsze skradły moje serce.

Przestała płakać. Jej smutek wypełnił cały pokój.

— Wiesz, że zawsze jestem na miejscu, kiedy mnie potrzebujesz.

— Wiem. Dziękuję.

W głębi serca czułem jednak, że zaczynam ją tracić. Tym razem jej słowa brzmiały pusto, zupełnie inaczej, niż kiedy mówiła do mnie dawniej. Silna więź, dzięki której pierwsze lata naszego małżeństwa były takie cudowne, rozpadała się na naszych oczach i nie miałem pojęcia, jak temu zapobiec. Oboje zrobiliśmy się tacy zajęci i pochłonięci pracą, karierą, że prawie w ogóle nie spędzaliśmy ze sobą czasu. Czy sama miłość nie wystarczy, żeby dwie osoby żyły ze sobą długo i szczęśliwie?

Wiedziałem, że Gail usilnie stara się ukryć żły, nie pokazać po sobie, jak bardzo się na mnie zawiodła.

— Piękna noc, taka gwiazdzista — powiedziała. — Nie chcesz pójść na werandę i posiedzieć sam na sam ze swoimi myślami?

Wiedziałem, że tak naprawdę to ona chce być sama.

— Dobrze, kochanie.

Włożyłem płaszcz i wyszedłem na tylną werandę, gdzie cztery brązowe krzesła otaczały stary, okrągły stół, niedaleko grilla. Noc była chłodna i rześka, a niebo nakrapiane tysiącami maleńkich światełek. Co za szczęście, że wyprowadziliśmy się z miasta i mogliśmy podziwiać takie noce!

Przypomniałem sobie o zakupionej książce. Postanowiłem do niej zajrzeć.

Otworzyłem na chybił trafił. Na stronie dwudziestej drugiej znajdował się następujący wiersz:

*Rób to, co chcesz robić.  
Bądź tym, kim chcesz być.  
Patrz po swoimu.  
Postępuj po swoimu.  
Myśl po swoimu.  
Mów po swoimu.  
Dąż do celów  
do których chcesz dążyć.  
Żyj zgodnie ze swoimi  
wewnętrznyimi prawdami.*

„Znowu typowy Thoreau", pomyślałem. Ten człowiek naprawdę odkrył prawdziwy sens swojego życia.

Miałem przewrócić stronę, kiedy zobaczyłem nazwisko autora.

To nie był Thoreau.

To była Susan Polis Schulz.

Mocno mnie to zaskoczyło. Nie tylko Thoreau odkrył swoją prawdę, ta kobieta również. Ilu jest jeszcze takich ludzi?

Poczułem się nieswojo. Kim są te duchy, które weszły do starej książki, aby zakwestionować mój dotychczasowy model życia? Zawsze uważałem, że postępuję słusznie, zarabiając

na życie i troszcząc się o przyszłość swoją i najbliższych. Ale teraz, im więcej czytałem o tych obcych ludziach, tym silniej sobie uświadamiałem, że wcale nie są mi obcy, że żyli według własnych zasad, nie stosując się do wyznaczonych reguł, aby się dowiedzieć, kim naprawdę są, i tym samym nauczyć się żyć pełnią życia.

Gail wyszła na werandę.

— Pomyślałam, że może napijesz się kawy.

— Tak, dziękuję.

Wypiłem łyk świeżo zaparzonej kawy, która rozgrzała mnie od środka.

— Spij dobrze — powiedziała Gail i ruszyła w stronę domu.

— Gail?

— Tak?

— Zostałabyś ze mną chwilę?

— Hm, dobrze. — Usiadła obok mnie. — Co czytasz?

— A, kupiłem dziś książkę w antykwariacie pana Blake'a.

Pamiętasz pana Blake'a?

— Szczerze mówiąc, nie.

— Wiesz, ten starszy pan, którego kiedyś poprosiliśmy o radę w sprawie książki...

— A, tak, przypomniałam sobie. Ten w okularach z grubymi szklami.

— Właśnie.

Spojrzała na gwiazdy.

— Pamiętam, że dostrzegłam w nim coś wyjątkowego.

— To znaczy? — zapytałem.  
— Coś w jego oczach. Świeciły jakoś inaczej.  
— To znaczy? — powtórzyłem.  
— Nie umiem tego wytłumaczyć. To jedna z tych rzeczy, które zauważam u ludzi. Zresztą nieważne. Mogę zobaczyć książkę?

— Jasne. Jest tu pełno mądrych myśli. Wiesz, to jedna z tych książek, które można otworzyć na dowolnej stronie i zacząć czytać.

Wzięła ode mnie książkę, powoli otworzyła, nie patrząc na numer strony, i zaczęła czytać:

*Chociaż podróżujemy  
po całym świecie,  
aby znaleźć piękno,  
musimy nosić je w sobie,  
bo inaczej go nie znajdziemy.*

— To cudowna prawda — powiedziała.  
— Dziś przed południem dowiedziałem się o człowieku, który nazywał się Thoreau. Jest naprawdę świetny.  
— Tego nie napisał Thoreau — odparła.  
— Proszę?  
— Tego nie napisał Thoreau.  
— A tak, jest jeszcze ta świetna kobieta Susan Polis Schulz, która ma podobny styl i...  
— Ona też tego nie napisała.

— Jesteś pewna?

— Oczywiście, że jestem pewna. Tu podają, że napisał to Ralph Waldo Emerson.

Milczałem, wpatrzony w książkę i zamyślony.

— Nic ci nie jest, Michael?

— Nie, Gail, po prostu myślę.

Spojrzała na mnie badawczo.

— Dobrze, w takim razie zostawiam cię z twoimi myślami. Tylko nie siedź tutaj za długo. Musimy wcześniej wstać. Jutro czeka mnie długi dzień w pracy.

— Nie zjemy kolacji, Gail?

— Odszedł mnie apetyt, Michael. Chcę się położyć.

— Dobrze. Dobranoc.

— Dobranoc, Michael.

Wstała i weszła do środka.

Nadal wpatrywałem się w otwartą książkę. Zacząłem się czuć nieswojo, a krzesło, do tej pory tak wygodne, sprawiało wrażenie zimnego i twardego jak kamień. Co to za ludzie? Jak to możliwe, że pisali o tym samym? Znali się? Oczywiście, że nie. A w każdym razie nie wszyscy. Ale skoro mieli różne drogi życiowe, to jak to możliwe, że tak samo myśleli i zostawili po sobie to samo przesłanie? I dlaczego ich myśli są tak bliskie moich, a ich życie tak dalekie od mojego? Czy znajdę w sobie odwagę pójścia w ich ślady, aby odkryć prawdę, którą oni znaleźli?

A potem pewna myśl uderzyła mnie jak piorun i wprawiła w jeszcze większe przygnębienie:

Ilu jest na świecie ludzi, którzy żyją tak, jak powinni, pod-  
jąwszy trudną decyzję o pójściu za głosem serca?

Zamknąłem książkę przestraszony. Uświadomiłem sobie,  
że takich ludzi jest znacznie więcej, niż sądziłem.

## Rozdział III



**N**ASTĘPNEGO ranka wyjechałem do pracy później niż zwykle, mając świadomość, że utknę w porannym korku. Nie mogłem w nocy spać i długo czytałem książkę kupioną w antykwariacie pana Blake'a. Odkryłem wiersze napisane przez Ellę Wheeler Wilcox, Douglasa Mallocha, Roberta Pollisa i innych i uzmysłowiłem sobie, że łączy ich jedno: żyli według własnych zasad. Słuchali wewnętrznego głosu i żyli zgodnie z tym, co sami głosili. Nadali swemu życiu sens.

Jak oni to zrobili? Czy ktoś im w tym pomógł? Czy mieli tak silną osobowość, a ja mam taką słabą, że nie umiem sobie wyobrazić, abym mógł być taki jak oni, chociaż w tym momencie niczego bardziej nie pragnę?

Reszta dnia przeszła obok mnie niezauważenie. Praca w biurze bywała tak rutynowa, że mogłem ją wykonywać bezmyślnie. Wyszedłem z biura oszołomiony, ale na schodach spotkałem prezesa. Poczynił uwagę na temat mojego ubioru, stwierdza-



jąc, że jest niestosowny w miejscu pracy. Jak to, garnitur jest niestosowny? Okazało się, że chodzi o ciemnozieloną koszulę. Czy jedynym celem życiowym tego człowieka jest mnie unieszczęśliwić? Jak maszynka mówiłem: tak, proszę pana, oczywiście, proszę pana, to już się nigdy nie powtórzy, proszę pana, i w końcu mogłem się odmeldować. Wsiadłem do samochodu i pojechałem do domu. Minęły kolejne dwadzieścia cztery godziny, a ja prawie tego nie zauważyłem.

Wieczorem znowu wpatrywałem się w książkę. Czułem się dosyć nędznie. Nie uszło to uwagi Gail i chociaż nadal się na mnie gniewała, podeszła do mnie po cichu.

— Wciąż szukasz odpowiedzi na swoje myśli? — spytała.  
— Nie zapominaj, że jestem świetną słuchaczką.

Obdarzyła mnie tym spojrzeniem pełnym miłości, próbując otworzyć drzwi, które nas od siebie oddzielały. Każde z nas wiedziało, że to drugie jest za ścianą, którą zbudowaliśmy, i przez to czuliśmy się bardzo od siebie oddaleni.

— Muszę ci coś powiedzieć, Gail.

— Co takiego?

Poczułem na policzku łzę.

— Pamiętasz książkę, którą wczoraj kupiłem?

— Tak.

— Dokończyłem ją w nocy i do rana myślałem o ludziach, którzy napisali te cudowne wiersze. Strasznie im zazdroścę.

— Dlaczego?

— Bo bardzo bym chciał być taki jak oni, żyć według tego, w co wierzę, nie przejmując się tak bardzo przyszłością, nie przejmując się tak bardzo tym, co inni o mnie pomyślą.

— To dlaczego taki nie jesteś?

— Myślę, że życie, które prowadzimy, kochanie, codzienny kierat, świadomość, że jesteśmy zabezpieczeni finansowo na przyszłość, bo nasze kariery tak dobrze się rozwijają — wszystko to sprawiło, że moja dawna żądza przygody przygasła.

— To rozpal ją w sobie na nowo, Michael. Znowu bądź wolnym duchem.

— Wiesz, że poświęciliśmy mnóstwo czasu i wysiłku budowie fundamentów finansowych, które by nam zapewniły spokojną starość. Oszczędzamy, żeby założyć rodzinę i dać dzieciom wszystko, co w życiu najlepsze. Czy nie dlatego tak ciężko pracujemy? Nie możemy tak po prostu wyrzucić całego tego wysiłku na śmietnik. Gdybyśmy zrezygnowali z pracy, żeby pójść za jakimś zwariowanym marzeniem, stracilibyśmy część korzyści finansowych, na które tak ciężko sobie zapracowaliśmy.

Spojrzała na mnie stanowczym, zdeterminowanym wzrokiem.

— Posłuchaj mnie, Michaelu Thompson, posłuchaj mnie uważnie. Wysłałam za ciebie dlatego, że wiedziałam, że któregoś dnia będziemy mieli szansę na wyjątkowe życie, życie, w którym nie będą dla nas istniały żadne bariery. Pamiętasz, jakimi byliśmy wolnymi duchami, kiedy się poznaliśmy?

Zakochałam się w spojrzeniu twoich oczu i wiedziałam, że pewnego dnia zdarzy się coś, co pozwoli nam zbudować raj na ziemi. Może teraz jest na to czas.

— To znaczy na co?

— Żeby radykalnie zmienić nasze życie. Nie chciałam ci tego wcześniej mówić, kochanie, ale widzę, jaki jesteś smutny. Mogę ci powiedzieć, że mam ostatnio takie samo poczucie pustki jak ty, czuję się tak, jakby w tym, co robimy, nie było żadnego celu ani sensu. Czasem nie poznaję sama siebie, Michael. Kładę tak wielki nacisk na karierę i przyszłość finansową kosztem wolnego czasu i życia osobistego, że staję się osobą, którą nie chcę być. Prawie się ostatnio nie widzujemy i nie rozmawiamy ze sobą tak jak dawniej. Zaczynam się czuć obco w twoim towarzystwie. Jeśli ty czujesz to samo, to może rozbudzymy w sobie naszą dawną żądzę przygody i zostaniemy prawdziwymi kochankami, którymi kiedyś byliśmy? Czy może nam się nie udać? Nadal jesteśmy marzycielami i kochamy się. W najgorszym razie nie poczujemy się szczęśliwsi w nowym życiu i wrócimy do dawnego, znajdziemy sobie inną pracę i może odłożymy mniej pieniędzy, niż zakładaliśmy. Więcej nie możemy stracić. Z drugiej strony wyobrażasz sobie te wszystkie cudowne miejsca, które możemy odkryć, różnych ludzi, których możemy poznać, i wszystkie rzeczy, których możemy się od nich razem nauczyć? Żyjemy tylko raz, Michael, i jeśli życie przejdzie obok nas, to go nie dogonimy. Nie sądzisz, że będziemy na starość żałować, że nie daliśmy naszemu marzeniu szansy się spełnić?

— Tak, Gail, ale...

Niechący strąciłem książkę ze stołu. Spadła na podłogę i otworzyła się na stronie dwunastej.

*Tysiącmilowa podróż  
zaczyna się od pierwszego kroku...  
we właściwym kierunku.*

Bez słowa wpatrywaliśmy się w otwartą książkę. Gail uśmiechnęła się, a potem parsknęła śmiechem i spojrzała na mnie.

— Myślę, że twoi przyjaciele próbują ci coś powiedzieć, kochanie.

„Żyjemy tylko raz”, powiedziała wcześniej Gail. Spojrzałem na leżącą na podłodze książkę i po raz pierwszy od dłuższego czasu wiedziałem, że odpowiedź została udzielona. Gail miała rację. Za pośrednictwem tej starej książki nie przyszli do mnie obcy, tylko ludzie tacy jak ja, którzy poznali tajemnicę spełnionego życia, a teraz zjawili się, aby mi pomóc postawić pierwszy krok w kierunku życia, o jakim zawsze marzyłem. I teraz nareszcie zdałem sobie sprawę, że jeśli pójdę za głosem serca i sam zdecyduję o swoim życiu, te pokrewne dusze posłużą mi pomocą i radą.

Wziąłem Gail za rękę i spojrzałem jej w oczy.

— Gail?

— Tak, kochanie?

Ręce mi drżały.

— Gail, jeśli coś nie wyjdzie, jeśli pogoń za marzeniami skończy się dla nas źle, jeśli kiedyś nie będziemy mogli mieć rzeczy, których dawniej tak bardzo pragnęliśmy, będziesz mnie dalej kochała?

Zajrzała mi prosto w serce, a z jej pięknych szmaragdowych oczu popłynęły łzy.

— Kocham cię, odkąd cię poznałam, Michael. A zanim cię poznałam, kochałam myśl o tobie. A jeszcze wcześniej kochałam nadzieję spotkania kogoś takiego jak ty. Wszystko jedno, co się z nami stanie, Michaelu Thompson, zawsze będę cię kochała.

Odebrało mi mowę. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć na jej wyznanie. Tyle razy obiecałem jej te przygody, te marzenia i nigdy nie dotrzymałem słowa. Marzenia spełniają się dzięki czynom, a nie tylko myślom. Wiedziałem, że Gail błaga mnie, abym nie zawiódł jej po raz kolejny, bo może jest to ostatnia szansa na uratowanie naszego związku, naszego małżeństwa.

Miałem dojmującą świadomość, że od mojej odpowiedzi zależy kształt reszty naszego życia. Powiedziałem więc po prostu pierwszą rzecz, która przyszła mi do głowy.

— Gail, pamiętasz, jak marzyliśmy, że zbudujemy zagłówkę i popłyniemy w podróż...

Nie dała mi szansy dokończyć. Podbiegła do mnie z oczami pełnymi łez, rzuciła mi się na szyję i uściśniła mnie z całą siłą.

— Kocham cię, Michaelu Thompson.

## Rozdział IV



**Z**ROZPOCZĘCIEM poszukiwań łodzi zaczęliśmy do końca tygodnia.

Chociaż byliśmy dobrymi żeglarzami, nigdy nie mieliśmy swojego jachtu. Pływaliśmy po zatoce większymi i mniejszymi jednostkami, ze znajomymi, a czasem sami, ale nigdy nie wypuściliśmy się na pełne morze — nie dlatego, że nie mieliśmy ochoty, tylko dlatego, że jakoś nigdy nie mogliśmy znaleźć czasu.

Pojechaliśmy na niewielką przystań z tablicą „ŁODZIE NA SPRZEDAŻ” na końcu pomostu. Zardzewiałe żelazne schody prowadziły do biura. Kiedy otworzyliśmy drzwi, zagrała muzyka, dając właścicielowi znać, że przybyli potencjalni klienci.

— Witam w najlepszym sklepie z łódkami w mieście! — powiedział niski młodzieniec z ciemnymi oczami, w typowym garniturze drobnego sprzedawcy. — Nazywam się John Roberts. W czym mogę państwu pomóc w ten piękny dzień?

— Dzień dobry, panie Roberts. Jestem Michael, a to jest

moja żona Gail. Chcielibyśmy kupić żaglówkę. Przyznam się panu szczerze, że nigdy nie mieliśmy własnej łodzi, więc byliśmy panu wdzięczni za sugestie i rady.

— Trafiliście pod właściwy adres! Aha, i proszę do mnie mówić John. — Wyjął katalog używanych i nowych jachtów na sprzedaż. — Jaka podróż planujecie?

— Jeszcze nie wiemy dokładnie, ale przypuszczalnie na Fidżi i Vanuatu, powrót przez Nową Kaledonię.

John zrobił wielkie oczy.

— Chcecie wyruszyć w tak daleką podróż, mimo że nigdy nie mieliście jachtu?

— To niezupełnie tak — włączyła się Gail. — Nigdy nie mieliśmy własnego jachtu, ale całkiem sporo żeglowaliśmy wokół Auckland i doszliśmy do wniosku, że pora na dłuższą wyprawę.

Pan Roberts zaczął się pocić. Z tylnej kieszeni spodni wyjął białą chusteczkę i przetarł nią czoło.

— Nie będzie łatwo, jeśli chcecie popłynąć *bareboat*.

— Co to znaczy?

— W żeglarskim żargonie to jest wyprawa bez profesjonalnej załogi. Czyli że pan będzie kapitanem, Michael, a pańska żona załogą. Da się to zrobić, ale jest bardzo ważne, żeby wybrać odpowiednią łódź i odpowiedni sprzęt. W waszym przypadku trzeba poszukać łodzi, która spełnia trzy podstawowe kryteria: mocny kadłub, solidny takielunek i niezawodny silnik. — Wstał. — Pokażę wam, co mam.

Zabrał nas do luksusowego sektora swojej floty jachto-

wej, do łodzi wyposażonych w najnowsze urządzenia, takie jak automatycznie stawiane i zwijane żagle, systemy sonarne, nawigacja satelitarna, baterie słoneczne plus wszelkie możliwe luksusy, takie jak pawężę z trampolinami, bimidi, czyli obszary łodzi zawsze znajdujące się w cieniu, lodóweczka w kokpicie, prysznicie rufowe, kwadrofoniczny system nagłaśniający z CD czy kuchenka mikrofalowa.

Patrzyliśmy na jachty jak dzieci, usiłując przyswoić sobie wszystkie informacje, których udzielał nam pan Roberts. Nie byliśmy jednak zadowoleni, bo chodziło nam o bezpieczeństwo, a nie luksus.

— Nie panikujcie — uspokajał. — Pokażę wam łodzie, które generalnie nazywam standardowymi. — Zabrał nas do grupy białych żaglówek zakotwiczonych po prawej stronie pomostu. — Nie spieszcie się. Większość z tych jachtów po małych korektach będzie się nadawała do tej wyprawy.

Zaczęliśmy oglądać. Tu i ówdzie pojawiały się znane nam marki, takie jak Catalina, Beneatau i Hunter. Łodzie bardzo się od siebie różniły, ale wszystkie wydawały się bezpieczne i w miarę wygodne. Ale zawsze czegoś im brakowało. Z jakiegoś powodu, którego nie umiałem wskazać, coś było nie w porządku. Wiedziałem, że Gail ma takie same odczucia.

Spędziliśmy trzy godziny na porównywaniu konstrukcji, cen i wyposażenia. Braliśmy pod uwagę takie cechy jak pływalność i sterowność. Na pierwszym planie było bezpieczeństwo, zamierzaliśmy bowiem znajdować się przez wiele dni na pełnym morzu.



Nie mogliśmy się zdecydować. Coś nam nie grało. Ze słów pana Roberta wynikało, że niektórym jachtom nie można absolutnie nic zarzucić, ale czuliśmy się trochę nieswojo z myślą, że mielibyśmy nimi popłynąć.

Pan Roberts skapitulował. Uświadomiwszy sobie, że nie tego ranka nie sprzeda, dał nam swoją wizytówkę i powiedział, żebyśmy wrócili, jak podejmiemy decyzję.

— Przemyślcie sprawę — powiedział, starając się ukryć rozczarowanie. — Wiecie, gdzie mnie szukać.

Zeszliśmy z pomostu ze spuszczoneymi głowami, zastanawiając się, czy nie wybraliśmy sobie zabawy zarezerwowanej tylko dla ekspertów.

— Nie martw się, kochanie — powiedziałem do Gail. — Lepiej spokojnie wszystko przemyśleć, niż popełnić błąd.

— Masz rację — odparła. — Może powinniśmy przemyśleć cały ten wariacki pomysł i...

Nagle urwała. Utkwiła wzrok w jakimś miejscu za hangarem z łodziami. Do jego tylnej ściany przycumowana była stara żaglówka z tablicą NA SPRZEDAŻ wywieszoną na burcie. Drewno było częściowo przegniłe, a żagiel dziurawy. Musiałem wyteńczyć wzrok, żeby dokładniej zobaczyć tę łódź, która była zacumowana w cieniu. Spojrzałem na Gail i pomyślałem, że chyba postradała zmysły.

— Nic ci nie jest, Gail?

Przez dłuższą chwilę bez słowa patrzyła na żaglówkę. Potem nagle ruszyła w stronę biura pana Roberta. Zobaczył ją i wyszedł na zewnątrz.

— Czy coś się stało, proszę pani?  
— Panie Roberts, czy ta łódź za hangarem jest pana?  
— Tak, ale daleko na niej nie ujedziecie. Jest bardzo stara i można na niej pływać tylko po zatoce.

— Co ty robisz, Gail? — spytałem zbulwersowany.  
Nie odpowiedziała mi.

— Panie Roberts, myśli pan, że umiałby ją pan naprawić, żebyśmy mogli nią popłynąć na naszą wyprawę?

Przyjrzał się uważniej żaglówce.

— Hm, chyba tak, ale to by kosztowało kupę forsy.

— Ile?

— To zależy, czego chcecie.

— Musi być w dobrym stanie, żeby nas zabrała tam, gdzie chcemy popłynąć — stwierdziła Gail.

— Zrobienie kosztorysu trochę potrwa — odparł pan Roberts.

— To niech pan wraca do biura i przygotuje dla nas ofertę, z podstawowym wyposażeniem — nalegała Gail.

— Jak mówię, to potrwa.

— Nie szkodzi — odrzekła Gail. — Zajęło mi dużo czasu, zanim zaczęłam znowu marzyć. Parę godzin więcej nie zmieni. Mam przed sobą resztę życia.

Pan Roberts poszedł na zaplecze i przyniósł różne katalogi dotyczące urządzeń nautycznych, sprzętu radionawigacyjnego, poszycia i innych rzeczy. Pocił się teraz tak bardzo, że musiałem mu pożyczyć własną chusteczkę.

— Co ty wyprawiasz, Gail? — powiedziałem półgłosem.

- To, co powinnam była zrobić już dawno.
- Czyli?
- Iść za tym, co mówi mi instynkt.

W końcu uruchomiła się drukarka, wyrzucając długą taśmę papieru z całkowitą sumą na końcu. Pan Roberts po raz ostatni sprawdził listę i napisał na odwrocie jakąś kwotę.

Spojrzał na nas.

— Mnóstwo się dzisiaj przez was napracowałem. Odjąłem już dziesięć procent od ceny katalogowej, więc nie próbujcie się targować. To jest moja ostateczna oferta, bierzecie albo do widzenia. Mogę wam jednak zagwarantować, że z całym tym sprzętem nawigacyjnym i po naprawach kadłuba będziecie mogli bezpiecznie popłynąć tą starą krypą. — Przesunął kartkę w naszą stronę. — Teraz zostawię was samych, żebyście mogli podjąć decyzję.

Po cichu wyszedł.

Zobaczyliśmy cenę. Spojrzeliśmy na siebie wytrzeszczonymi oczami.

- Nie ma mowy, żebyśmy zapłacili taką cenę, Gail!
- Wiesz, że nas stać, Michael, musimy tylko wyjąć pieniądze z funduszu emerytalnego.
- Co? Przecież wiesz, że nie możemy ruszać tych pieniędzy!
- Dotarliśmy tak daleko, że musimy, a zresztą wiesz, że nic wielkiego się nie stanie...

Przez moment poczułem to samo co ona. Miała rację. Oczywiście, że mogliśmy użyć tych pieniędzy. W końcu były

to nasze pieniądze. Odkładanie ich na odległe czasy było pretekstem do tego, żeby kontynuować stresujące życie, którego tak bardzo nie znosiliśmy. Mieliśmy jednak głęboko wpojone, że tych pieniędzy nie wolno ruszać, bo to jest „zabezpieczenie”.

Co jest lepsze: oszczędzać pieniądze, żeby mieć bezpieczną i spokojną starość, czy wyruszyć na cudowną przygodę, żeby starość była czasem wspomnień o tych wszystkich zrealizowanych marzeniach i spełnionym życiu? Poza tym po powrocie mogliśmy sprzedać łódź i odzyskać większość zainwestowanych pieniędzy. A wspomnienia miały być wieczne. I bezcenne. I wyprawa ponownie by nas do siebie zbliżyła. Nasze małżeństwo się rozpadało i nie mieliśmy nic do stracenia.

Ten argument przeważał szalę.

Spojrzeliśmy sobie w oczy.

— Już wiesz, jaka jest decyzja — powiedziałem.

— Tak!

Wstała i wyszła z biura.

— Umowa stoi, panie Roberts.

Uśmiechnął się szeroko.

— Zaraz zabieram się do pracy nad tą łódką. Za dwa tygodnie będzie gotowa.

— Świetnie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i podpisałem czek na połowę sumy. Druga połowa miała zostać wypłacona po skończonym remoncie.

Pan Roberts zaprowadził nas tam, gdzie stała nasza „nowa”

żaglówka. Wyglądała naprawdę staro. Ale miała w sobie coś szczególnego i zacząłem rozumieć, co Gail w niej zobaczyła.

— Jak się nazywa? — spytałem.

— Nie wiem — odparł pan Roberts. — Tablica z nazwą pewnie dawno odpadła. Wie pan, jak to jest ze starymi łodziami.

— Ma pan jakąś dokumentację od poprzedniego właściciela?

— Mam, ale z jakiegoś dziwnego powodu nazwa nie jest tam wymieniona. Model, kolor, numer silnika, numer rejestracyjny — wszystko jest, oprócz nazwy. Jest zarejestrowana jako Catalina. Ale uwierzcie mi, to nie ma znaczenia. Wszystkie papiery są w porządku. Poza tym macie dzięki temu możliwość sami ją ochrzcić — dodał.

Zostaliśmy na przystani jeszcze długo po zachodzie słońca.

Siedzieliśmy na ławce i godzinami wpatrywaliśmy się w naszą łódkę, jak to robią niektóre dzieci, kiedy dostaną wyjątkowy prezent, o którym marzyły. Byliśmy trochę przestraszeni i nie mieliśmy pewności, czy słusznie postąpiliśmy, ale wiedzieliśmy, że tak to już jest, kiedy w życiu nastąpi radykalna zmiana, kiedy człowiek zamierza opuścić „strefę bezpieczeństwa”, jak to nazwała Gail — tę osobistą przestrzeń, w której czujesz się bezpiecznie, ponieważ wszystko jest znajome i zawsze takie samo. Kiedy wszystko to ma się zmienić, nagle czujesz się trochę bezdomny.

— Jak ją nazwiemy?

— Słucham?  
— Jak ją nazwiemy? — powtórzyła Gail.  
— Jeszcze nie wiem. Masz jakieś pomysły?  
— Na razie nie.  
— To chyba lepiej będzie zostawić to na kiedy indziej. —  
Wstałem. — Chodźmy do domu, Gail. Robi się późno.

— Nie chcę iść do domu. Boję się, że jeśli teraz pójdziemy, czar naszego marzenia pryśnie i zaczniemy się zastanawiać, czy dobrze robimy.

Gail wyglądała pięknie, kiedy była zmartwiona. Z jej zielonych oczu przemawiała prawda jej serca. Gail nie umiała kłamać i była to jedna z tych rzeczy, które najbardziej w niej kochałem; jedna z tych rzeczy, które rozpaczliwie pragnąłem odzyskać w naszym związku.

— Nie przejmuj się — powiedziałem. — Łódka jutro wciąż będzie tu stała, a skoro dotarliśmy tak daleko, to raczej już się nie rozmyślimy.

Przyglądała mi się przez chwilę.

— Dobra, wierzę ci.

Wziąłem ją za rękę i powoli poszliśmy do samochodu. I wtedy uświadomiłem sobie, że nie pamiętam, kiedy ostatni raz szliśmy, trzymając się za ręce, kiedy milczenie było ważniejsze niż wszelkie słowa, które mogliśmy powiedzieć.

Jeszcze tego wieczoru rozpoczęliśmy przygotowania do wyruszenia za dwa tygodnie w podróż naszą nową, „beziemną” łódką.

Żaglówka choć nie nowa, była w całkiem niezłym stanie. Pan Roberts wyjaśnił nam, że poprzedni właściciel bardzo o nią dbał, nie pozwolił śrubie zardzewieć i silnik chodzi jak w zegarku, a kadłub jest w lepszej kondycji, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Pan Roberts zapewnił nas, że naszej żaglówce żadne morze niestraszne, a kiedy zainstaluje się wieżę z CD, kuchenkę gazową z piekarnikiem i prysznic, kupi talerze i garnki ze stali nierdzewnej, podróż będzie jeszcze przyjemniejsza. O nasze bezpieczeństwo miał dbać system radionawigacji z GPS.

Spojrzałem na Gail, która uśmiechnęła się do mnie.

Jakże daleko byliśmy od prawdy, myśląc o tych wszystkich materialnych wygodach, kiedy mieliśmy niedługo odkryć prawdziwe skarby życia!

## Rozdział V



**P**o dwóch tygodniach pan Roberts zadzwonił do nas z wiadomością, że żaglówka jest gotowa. Natychmiast pojechaliśmy na przystań. W pierwszej chwili nie poznaliśmy naszej łódki. Była świeżo pomalowana na biało, a wypolerowany pokład lśnił. Zapach drewna cedrowego i nowych żagli dodawał łodzi uroku. Kuchenka i lodówka kontrastowały swoją nowoczesnością z prymitywnym, ale solidnym stołem w stylu farmerskim, przy którym mieliśmy spędzać wiele godzin dziennie, przygotowując i jedząc liczne egzotyczne potrawy pozwalające nam lepiej się wczuć w kultury odwiedzanych miejsc. Pan Roberts zamontował wszystkie obiecane dodatki i wymienił większość rufy, jak również cały sprzęt nawigacyjny. Piętnastometrowy szkuner robił solidne wrażenie.

Zapłaciliśmy panu Robertsowi resztę pieniędzy, a on dał nam wszystkie dokumenty i powiedział, że łódź należy do nas.

— Życzę wam wspaniałej żeglugi, Gail i Michaelu. Nie



zapomnijcie, że po waszym powrocie będę zainteresowany odkupieniem od was jachtu.

— Dziękujemy za propozycję, John — odparłem. — Zastanowimy się po powrocie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i pojechaliśmy, Gail z najpiękniejszym uśmiechem świata na twarzy.

Następnego dnia rano pojechałem do biura, a że był to mój ostatni dzień w pracy, pożegnałem się z wszystkimi. Wiadomość, że odchodzę z firmy, przyjęli ze zdziwieniem, ale każdy dobrze mi życzył. Napiliśmy się razem i po lunchu pożegnałem się z kolegami i koleżankami, a potem z szefem. Spodziewałem się, że będzie kwestionował moją decyzję. Ku mojemu zaskoczeniu nic takiego nie powiedział.

— Będzie nam pana brakowało — oznajmił i zobaczyłem w jego oczach błysk zazdrości.

Jego reakcja zdumiała mnie, a jednocześnie utwierdziła w przekonaniu, że słusznie postąpiliśmy.

Ruszyłem w stronę samochodu. Otworzyłem drzwi, wsiałem i miałem już zapalić silnik, kiedy coś przyszło mi do głowy.

Pan Blake.

Musiałem powiedzieć o wszystkim panu Blake'owi i pożegnać się z nim.

Nie wiedziałem, ile potrwa wyprawa, a że zwykle odwiedzałem antykwariat pana Blake'a dwa razy w tygodniu, trzeba go było zawiadomić o wyjeździe, żeby się o mnie niepotrzeb-

nie nie martwił. Sądziłem, że mi pogratuluje. „Mam nadzieję, że antykwariat jest jeszcze otwarty”, pomyślałem.

Wysiadłem z samochodu i przeszedłem na drugą stronę ulicy, jak to wcześniej robiłem dziesiątki razy. Antykwariat wciąż był otwarty, a pan Blake siedział między półkami i czytał.

— Panie Blake!

— Witam, przyjacielu. — Wstał i podszedł do mnie. — Jak się pan dzisiaj miewa?

— Bardzo dobrze, panie Blake. Przeszedłem się pożegnać.

— Wyjeżdża pan z miasta?

— Tak — odparłem. — Moja żona i ja wyruszamy w podróż naszą nową żaglówką i nie wiemy, jak długo potrwa wyprawa. Przeszedłem się pożegnać, żeby się pan o mnie nie martwił.

— Dziękuję, że pan o mnie pomyślał, panie Thompson. — Uśmiechnął się do mnie. — A więc zrobił pan to.

— Co zrobiłem?

— Rzucił pan pracę, żeby zrealizować swoje marzenie.

— No, tak. Przynajmniej na jakiś czas. Muszę znaleźć cel w tym, co robię. Muszę się dowiedzieć, kim naprawdę jestem.

— Wie pan, co powiedział nasz przyjaciel Samuel Butler?

— Kto?

— Samuel Butler, pokrewny duchem tym autorom, któ-

rych pan czytał. *Życie jest jak muzyka. Trzeba je komponować na słuch, wycucie i instynkt, a nie według reguł.*

Poszedł w głąb antykwariatu, usiadł na krześle, wyciągnął szufladę i wyjął zawinięty w kolorowy papier przedmiot rozmiarów grubej książki.

— To dla pana i pańskiej żony.

— Panie Blake, nie trzeba było... — A potem doznałem olśnienia. — Skąd pan wiedział, że wyjeżdżam?

Uśmiechnął się.

— Wiedziałem od pierwszej chwili. Wiedziałem, że ma pan w sobie siłę, aby pójść za głosem serca.

Wręczył mi prezent. Zacząłem go otwierać.

— Nie, niech pan nie otwiera!

— Dlaczego? — spytałem zdziwiony.

— Niech pan nie otwiera, dopóki nie odpłyniecie. To bardzo ważne. Niech pan to zrobi dla starego człowieka, który ma swoje kaprysy. Kto wie, może to przyniesie wam szczęście.

Byłem trochę sceptyczny.

— Skoro tak pan sobie życzy...

— Tak, panie Thompson, dziękuję panu. Niech pan nie otwiera, dopóki nie odbijecie od brzegu.

Skinąłem głową na znak, że się zgadzam, wziąłem prezent i podałem panu Blake'owi rękę. Stary antykwariusz mocno mnie uściskał.

— Do zobaczenia — powiedział.

— Do zobaczenia.  
— Panie Thompson... — zawołał za mną, kiedy byłem już przy drzwiach.

— Tak?

— Jeszcze jedna rzecz. Proszę mi obiecać, że zachowa pan prezent do końca podróży, choćby wydawało się to panu absurdalne.

— Zaczynam się bać, panie Blake.

— Nie ma powodu. Przepraszam, że pana tak stresuję. Niech pan to zrobi dla starego człowieka...

Zaczynało mnie ogarniać rozdrażnienie.

— Dobrze, otworzę dopiero po wypłynięciu z portu i zachowam do końca wyprawy.

— Dziękuję, panie Thompson.

Zdjął okulary z grubymi szklami i powiedział z pięknym uśmiechem:

— Życzę cudownego życia, Michael.

Potem wrócił do swojego świata książek, gdzie było jego miejsce.

Nic nie powiedziałem. Otworzyłem drzwi i wyszedłem z antykwariatu. Było mnóstwo rzeczy do zrobienia przed wypłynięciem.

Słońce powoli zniknęło za horyzontem, barwiąc niebo na luminescencyjny pomarańczowy kolor. Przezroczysta niebieska woda odbijała światło słoneczne, a kosmate chmury w górze

dopełniały obrazu. Moją duszę zalało nagłe ciepło. Było to piękne uczucie, które umocniło mnie w przekonaniu, że wyprawa jest dobrym pomysłem.

Gail i ja piliśmy kawę na pokładzie naszej żaglówki, patrząc na siebie i na morze. Wszystko dokładnie zaplanowaliśmy i postanowiliśmy spędzić noc na łodzi, noc wypełnioną zapachem morza, gotowi wyruszyć zaraz z rana.

Po romantycznym zmierzchu zamrugały mi przed oczyma niezliczone światła. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby gwiazdy tak jasno świeciły. Byłem pod wielkim wrażeniem czystej, dziewiczej natury.

— Tak się cieszę, że podjęliśmy tę decyzję — powiedziała Gail. — Już zaczynam czuć się lepiej, od samego siedzenia na pokładzie. Jestem bliżej mojego prawdziwego ja, uczę się żyć innym życiem, jak wolny duch, którym kiedyś byłam. Koniec z kalendarzem spotkań, rutyną, terminami! Możemy robić, co chcemy, zatrzymać się, gdzie chcemy, na tak długo, jak chcemy. Boże, czuję się taka młoda! — Spojrzała na mnie. — Michael, czy ty mnie słuchasz?

— Przepraszam, kochanie — odrzekłem. — Gail, czy ja ci powiedziałem, że pan Blake dał nam prezent na podróż?

— Nie. Co to jest?

— Nie wiem. To było bardzo dziwne. Poprosił mnie, żebym nie otwierał, dopóki nie wypłyniemy, i kazał obiecać, że nawet jak nam się nie spodoba, mamy go zachować do końca wyprawy.

— Wiesz, jacy są antykwariusze. Sami ekscentrycy, a poza tym pan Blake ma już swoje lata. Gdzie ten prezent?

— W kabinie.

— To przynieś i otwórz.

— Powiedział, żeby nie otwierać, dopóki nie wypłyniemy na ocean.

— Nie jesteś ciekawy?

— Myślę, że powinniśmy uszanować życzenie starego człowieka. W końcu to on sprzedał mi książkę, od której to wszystko się zaczęło.

— Przecież już wypłynęliśmy. Czy zatoka nie jest częścią oceanu?

— Dobra, widzę, że jesteś taka niecierpliwa jak zawsze. — Uśmiechnąłem się. — Już przynoszę.

Zszedłem do kabiny, otworzyłem szafkę kuchenną i wyjąłem pakunek. Wróciłem na pokład, usiadłem i podałem prezent Gail.

— Ty otwórz — powiedziałem.

— Dlaczego ja?

— To był twój pomysł. Jeśli tam jest jakaś klątwa czy inne лихо, to spadnie na ciebie.

— Ty tchórze! — odparła ze śmiechem.

Delikatnie odwinęła papier i naszym oczom ukazało się drewniane pudełko z kłódeczką. Był też klucz.

— Powinniśmy otworzyć? — zapytałem.

— Oczywiście! — zaśmiała się. — Od tego są kłódki.

Przekreśliła kluczyk i kłódka się otwarła. Uniosła wieko.  
— Co to jest? — zapytałam.  
Włożyła rękę do pudełka i wyjęła prezent.  
— Książka — powiedziała.  
— Hm, wygląda na bardzo starą.  
Otworzyła ją na pierwszej stronie, na której było coś od-  
ręcznie napisane:

Michaelowi i Gail Thompsonom z Auckland.  
Wypłynęli z Nowej Zelandii, 3 marca 1998 r.,  
na pokładzie „Dalekich Wiatrów”,  
w podróż duchowego odkrycia.

*Niech wasze dni będą pełne szczęścia,  
Niech wasze noce będą pełne marzeń;  
Niech te marzenia po przebudzeniu  
przyniosą wam magię, która na was czeka.  
Niech wasze marzenia się spełnią,  
a potem staną się słodkimi wspomnieniami.  
Których nigdy nie zapomnicie...*

Thomas Blake

Patrzyliśmy na siebie zdumieni.  
— Skąd wiedział, że wypływamy?  
— Nie wiem — odparła Gail. — Mówiłeś mu?  
— Nie. Poszedłem do niego, żeby się pożegnać, a on wyjął  
zapakowany prezent.

— Hm, dziwne. Zobaczmy, co jest dalej. — Zaczęła przewracać kartki. Robiła to coraz szybciej. — Nic nie rozumiem!

— A co?

— Poza tym, co pan Blake napisał na pierwszej stronie, książka jest pusta. Nic w niej nie ma. Składa się z samych pustych stron.

— To niemożliwe. — Wziąłem od niej książkę i sprawdziłem. Miała rację. — Po co nam ją dał?

— Nie wiem — odparła Gail. — Powiedział ci coś jeszcze?

— Tak. Żebyśmy zachowali książkę do końca podróży.

— To się robi naprawdę dziwne.

— Co powinniśmy zrobić? — spytałem.

Przez jakiś czas milczeliśmy, zastanawiając się.

Pierwsza odezwała się Gail.

— Myślę, że powinniśmy ją zatrzymać. Pan Blake ma taki szczególny blask w oczach i jeśli nie cierpi na starczą demencję, a nie odniosłam takiego wrażenia, to na pewno nie dał nam tego prezentu bez powodu.

— Jeśli tak chcesz, to ja nie mam nic przeciwko temu. Zresztą nic się złego nie stanie, jeśli zachowamy tę książkę do końca podróży. Poza tym można ją wykorzystać jako dziennik pokładowy. — Potem coś sobie przypomniałem. — Gail?

— Co?

— Możesz jeszcze raz przeczytać pierwsze zdanie?

— Jasne.

Otworzyła książkę na pierwszej stronie.



Michaelowi i Gail Thompsonom z Auckland.  
Wypłynęli z Nowej Zelandii, 3 marca 1998 r.,  
na pokładzie „Dalekich Wiatrów”,  
w podróż duchowego odkrycia.

Spojrzałem na nią osłupiały.

— Skąd on znał datę naszego wypłynięcia?

— A poza tym jeszcze nie zdążyliśmy nadać naszej łodzi imienia — odparła z uśmiechem.

Patrzyliśmy na siebie kompletnie zdumieni, nie wiedząc, co mamy myśleć.

Potem Gail spojrzała ku horyzontowi. Wieczorna bryza rozwiewała jej włosy.

Na jej twarzy wykwitł uśmiech.

— „Dalekie Wiatry” — szepnęła. — Podoba mi się.

## Rozdział VI



**D**ECYZJE, które nadadzą naszemu życiu nowy kierunek, muszą zostać podjęte w odpowiednim czasie.

Żeby bezpiecznie dopłynąć do portu, trzeba nie tylko dokonać odpowiedniego wyboru, ale też zrobić to we właściwym momencie. Wszystko ma w życiu swój dokładnie określony czas i jeśli spróbujemy go przyspieszyć, to nam się nie uda. Musimy jednak być czujni, żeby nie przegapić tej chwili, bo może nie wrócić i już nigdy nie otrzymamy drugiej szansy.

Rano postawiliśmy żagle „Dalekich Wiatrów” i ruszyliśmy przed siebie. Serca szybko nam biły, wiatr smagał nas po twarzach i adrenalina pędziła nam w żyłach, kiedy szare i białe mewy z Auckland odprowadzały nas na koniec zatoki. Zawsze tak jest, że jeśli długo czekamy na spełnienie się jakiegoś marzenia i wkładamy w jego realizację mnóstwo wysiłku, to kiedy nareszcie przyjdzie pora, żeby żyć zgodnie z tym marzeniem, z początku nie możemy uwierzyć, że to się naprawdę dzieje. Potrzeba trochę czasu, żeby prawda prze-

biła się do naszych umysłów, a kiedy nareszcie sobie uświadomimy, że nasze marzenia zaczynają się spełniać, ogarnia nas cudowne poczucie wyzwolenia. Czujemy się wyjątkowi, inni od reszty ludzi. Marzenie nareszcie zaczyna zamieniać się w rzeczywistość.

Po godzinie żeglugi straciliśmy Auckland z oczu. Postanowiliśmy obrać kurs północno-wschodni na Kermadec, grupę wulkanicznych wysp będących terytoriami zależnymi Nowej Zelandii, położonymi sześćset mil od Auckland. Po raz pierwszy w życiu nie widzieliśmy wokół siebie suchego lądu. Uczucie, że jesteśmy sami, było dobre, ale trochę niepokojące.

— Gail?

— Tak, kochanie?

— Pewnie zabrzmiało to trochę głupio, ale to jest ostatni moment, żeby zrezygnować z tej podróży i zawrócić do portu. Może jak na dwie dorosłe osoby to był wariacki pomysł.

Poznałem po jej twarzy, że dręczą ją te same obawy co mnie. Chociaż uspokajała, że wszystko będzie dobrze, że mamy najlepszy sprzęt, że nie stanie się nic złego, to w głębi serca wiedziała, tak samo jak ja, że może się nam coś przytrafić. A chociaż w naszym związku zaczęło się dziać lepiej, nadal odczuwaliśmy pewien dystans, który sprawiał, że nie do końca sobie ufaliśmy.

— Włożyliśmy bardzo dużo wysiłku w przygotowania do tej wyprawy, Gail, ale może masz rację, może powinniśmy przemyśleć całą sprawę i wrócić...

Nagle lekki wiatr z zachodu otworzył książkę, którą dał nam pan Blake. Ku naszemu zdziwieniu coś było tam napisane:

*Nie bójcie się  
ogromu Wszęchświata,  
bo znajdziecie w nim swoje miejsce.*

Thomas Blake

Patrzyliśmy na siebie zdumieni.

— Przecież mówiłeś, że nic tam nie ma! Musiałeś coś przeoczyć.

— Ty też sprawdzałaś, Gail. Przysięgam, że oprócz pierwszej strony nic tam nie było napisane. Spójrz, to jest na drugiej stronie. Niemożliwe, żebyśmy to przeoczyli, chyba że były sklejone.

— Jeśli były sklejone, to jakim cudem teraz się rozkleiły?

Umilkliśmy. Gail wzięła mnie za rękę i dotknęła nimi swojej twarzy.

— Michael, dzieje się coś dziwnego i cudownego, i chociaż trochę się boję, wiem, że musimy uwierzyć w to marzenie.

— Tak.

Zamknąłem książkę i miałem ją włożyć z powrotem do pudełka, ale Gail mnie powstrzymała.

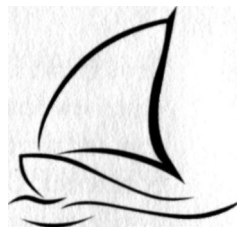
— Zostaw ją, przynajmniej póki pogoda jest dobra.

— Jesteś pewna?

— Tak, kochanie. Tak mi podpowiada intuicja.

Nic nie powiedziałem. Kiedy intuicja coś Gail podpowiadała, należało jej słuchać.

## Rozdział VII



**M**INAŁ tydzień, w ciągu którego wiele się nauczyliśmy. Zaczęliśmy się zapoznawać z wiatrami, które wiały w tym rejonie świata. Kiedy odpływaliśmy od wybrzeża Nowej Zelandii, niosły nas częste o tej porze roku południowe wiatry antarktyczne. Bezpieczniej było skierować się na północ ku cieplejszym wodom, bo wiatry od bieguna południowego już docierały do południowej wyspy nowozelandzkiej, co oznaczało niezbyt bezpieczną pogodę do żeglowania. Otrzymaliśmy informacje o bardzo silnych wiatrach, do czterdziestu węzłów, i o wzburzonym morzu na południe od Cieśniny Cooka, rozdzielającej dwie wyspy nowozelandzkie. Gdyby wszystko poszło dobrze, to powinniśmy przybyć na wyspy Kermadec nie później niż 17 marca, na wiele dni przed dotarciem w te regiony południowych wiatrów, ponieważ pokonywaliśmy średnio sto mil dziennie. Dzięki temu mielibyśmy mnóstwo czasu na przyzwyczajanie się do „Dalekich Wiatrów” przy łagodnej pogodzie i w niewielkiej odległości od Nowej Zelandii i jej

terytoriów zależnych. Poza tym pan Roberts zainstalował nam supernowoczesny przekaźnik radiowy z GPS, za pomocą którego codziennie informowaliśmy Straż Przybrzeżną o naszym położeniu. Dzięki temu czuliśmy się znacznie bezpieczniej, zwłaszcza w pierwszych dniach żeglugi.

Zorientowaliśmy się, że możemy płynąć szybciej i bezpieczniej popołudniami, kiedy ciepłe wiatry zwykle wiejące z zachodu ochładzały się i zmieniały kierunek na południowo-zachodni, toteż płynęliśmy fordewindem i inaczej niż przed południem nie musieliśmy halsować.

Żeby to maksymalnie wykorzystać, musieliśmy zmienić niektóre nawyki. Jedliśmy obiad znacznie wcześniej niż dawniej, tak że mieliśmy mnóstwo czasu na odpoczynek i przygotowanie się do popołudniowej żeglugi, która czasem przeciągała się do późna w nocy. Rano bawiliśmy się w gotowanie albo łowienie ryb, czekając, aż wiatr skręci. Zmianę kierunku wiatru łatwo było rozpoznać, ponieważ temperatura gwałtownie spadała, chroniąc nas i „Dalekie Wiatry” przed ostrym słońcem południa.

Ta prosta zmiana nawyków żywieniowych uświadomiła nam, że nasz dotychczasowy rozkład dnia został nam narzucony z zewnątrz i mógł być bez problemu zmieniony. Jedzenie lunchu w pracy o jedenastej zostałyby uznane za dziwne, ale tutaj nie dostrzegaliśmy w tym niczego niezwykłego. Stopniowo zaczęliśmy patrzeć na rzeczywistość inaczej, z innej perspektywy. W otaczającej nas wolności i samotności nie istniały żadne reguły i wszystko było możliwe, ponieważ tutaj naprawdę

dysponowaliśmy podstawowym składnikiem, bez którego nie ma mowy o autentycznej zmianie: czasem.

Któregoś popołudnia, kiedy wiatr skręcił, jak zwykle postawiliśmy żagle. Wiatr był niezbyt mocny, a metodą prób i błędów nauczyliśmy się, że przy słabym wietrze najlepiej jest poluzować trochę fokę, czyli przedni żagiel. Windami służącymi do zmiany naprężenia żagli posługiwaliśmy się coraz sprawniej.

Tym razem jednak stała się rzecz nieprzewidziana. Nagle od dziobu dmuchnął silny szkwał i poluzowany grotżagiel przeleciał na drugą stronę. Rzuciłem się za burtę, żeby nie zostać uderzony bomem, i z wody, jakby w zwolnionym tempie, patrzyłem, jak bom leci w stronę Gail.

— Uważaj! — krzyknąłem, ale było za późno.

Próbowała się uchylić, ale nadaremno. Słychać było łupnięcie, kiedy bom walnął ją w ramię.

Wszedłem z powrotem na pokład, zabezpieczyłem żagle i podbiegłem do Gail.

— Nic ci się nie stało, Gail?

Widziałem, że tłumi łyzy.

— Nic. Ręka chyba nie jest złamana.

— Zaczekaj tutaj i nie ruszaj nią. Przyniosę apteczkę.

Zbiegłem do kabiny i zacząłem szukać apteczki, ale nigdzie jej nie było. Usłyszałem szloch Gail i zacząłem szukać jeszcze bardziej panicznie. „Na pewno strasznie ją boli”, pomyślałem. W końcu znalazłem apteczkę i wróciłem na pokład. Gail dygotała, przeniknięta bólem.



Delikatnie sprawdziłem, czy kości są całe.

— Będzie trochę bolało — ostrzegłem.

Zniosła to bardzo dzielnie. Na szczęście żadna kość nie była złamana, ale przedramię zaczynało przypominać tęczę. Posmarowałem je maścią przeciwbólową i zacząłem bandażować. Na koniec unieruchomiłem ramię za pomocą temblaku z bandaża.

— Świetnie! — powiedziałem i pocałowałem ją w czoło.

— Za dwa dni będziesz jak nowa.

— Czuję się okropnie — odparła. — Nie będę mogła ci pomagać. Czuję się bezużyteczna.

— Nie mów takich rzeczy. Pomożesz mi, ile będziesz mogła, a przez następne kilka dni trochę sobie odpuścimy.

— Nie chcę być dla ciebie obciążeniem. Miałam nadzieję, że ta podróż zbliży nas do siebie, a tu coś takiego!

Usiadła, pokręciła głową i zaczęła płakać. Ból psychiczny znosiła gorzej niż fizyczny.

Miałem jej powiedzieć, żeby się nie martwiła, kiedy przyszedł ten wiatr, który nauczyłem się bez trudu rozpoznawać, i otworzył książkę:

*Co ci,  
którzy  
skarżą się na życie,  
powiedzą w obliczu śmierci?*

Thomas Blake

Gail spojrzała na mnie wystraszona.

— Co on nam chce powiedzieć? — zapytała.

— Nasz przyjaciel próbuje ci chyba przypomnieć, że skoro wciąż żyjesz, to nie powinnaś się skarżyć na ból, bo gdybyś nie odczuwała bólu, to nie mogłabyś też zaznawać szczęścia, miłości i innych pięknych rzeczy w życiu.

Skierowała wzrok ku horyzontowi, ale tak naprawdę zajrzała swoimi pięknymi zielonymi oczami we własną duszę.

— Masz rację — powiedziała, ścierając łzy z twarzy. — Mogłam dostać tym bomem mocniej i kto wie, co by się wtedy stało. Nie powinnam się skarżyć. Powinnam się cieszyć, że to się nie skończyło gorzej, a tobie w ogóle nic się nie stało. To jest tylko drobny wypadek, który nie zepsuje naszego marzenia.

Uśmiechnąłem się.

— Dobrze kombinujesz, skarbie.

Nagle wiatr przerzucił stronicę książki. Spojrzeliśmy, ale strona była pusta.

— To chyba jakaś pomyłka — stwierdziłem i zamknąłem książkę.

Wiatr dmuchnął jeszcze raz i ponownie otworzył książkę na tej samej pustej stronie.

— Lepiej zaniosę ją do kabiny.

Nie zdążyłem jednak tego zrobić, bo Gail chwyciła mnie za rękę.

— Nie, zostaw!

Odczuwała coś dla mnie niezauważalnego. Milczałem, czekając na jej następny ruch.

Patrzyła w dal, a jej głos zabrzmiał w chłodnym wietrze jak szept:

— *Nigdy nie trać z oczu całości obrazu. Nigdy nie trać z oczu tego, co od początku chciałeś osiągnąć.*

— To piękne, Gail. Skąd to znasz?

— Właśnie to wymyśliłam — odparła z uśmiechem.

— W takim razie powinnaś była zostać poetką. — Wstałem. — Czas, żebyś odpoczęła. Ja zrobię klar na pokładzie i potem zejść na dół.

— Dziękuję, kochanie.

Zaczęła schodzić po schodach.

— Stój, Gail!

— Co się stało?

— Chodź i sama zobacz!

Stanęła obok mnie i oboje wpatrywaliśmy się w stronę książki, która jeszcze przed chwilą była pusta:

*Nigdy nie trać z oczu  
całości obrazu.*

*Nigdy nie trać z oczu  
tego, co od początku  
chciałeś osiągnąć.*

Gail

Przez jakiś czas oboje milczeliśmy, patrząc po sobie. I przez krótki moment dostrzegłem w jej spojrzeniu czystą miłość płynącą prosto z duszy, tę miłość, której tak bardzo mi brakowało i którą tak rozpaczliwie starałem się odzyskać.

— Co o tym myślisz? — spytała.

Uśmiechnąłem się.

— Sądzę, że powinniśmy zapamiętać, kim jesteś ty i ja, Gail... kim my jesteśmy.

## Rozdział VIII



**L**ATARNIE morskie zawsze poprowadzą żeglarza, nawet w najciemniejszą noc.

To jest lekcja, której się nauczyliśmy, kiedy późną nocą dopłynęliśmy do wysp Kermadec. Woleliśmy nie wpływać do laguny głównej wyspy, ponieważ nadal niezbyt wprawnie posługiwaliśmy się mapami nawigacyjnymi, ale kiedy zobaczyliśmy promień światła latarni morskiej, poczuliśmy się pewniej, bezpieczniej, jakby to światło miało przez całą noc utrzymać „Dalekie Wiatry” na właściwym kursie.

Mieliśmy za sobą kilka burzliwych dni na morzu, ponieważ pod koniec lata południowe wiatry docierały dalej na północ. Jednak „Dalekim Wiatrom” niestraszne były fale i nasza łódź żaglowa manewrowała równie sprawnie jak delfiny, które nam towarzyszyły na otwartym morzu. Poza tym ramię Gail całkiem się zagoiło i oboje byliśmy coraz lepszymi żeglarzami.

Następnego dnia rano ze zdziwieniem zobaczyliśmy

ogromne wulkaniczne góry Sunday Island, największej z wysp Kermadec. Sunday Island była jedyną zamieszkaną wyspą. Jakiś czas temu zbudowano tam stację meteorologiczną. Czar tych dziewiczych wysp powalił nas na kolana i z zachwytem patrzyliśmy na ten zielony spektakl nieskażonej natury. Wyspę pokrywał bujny zielony kobierzec, który kończył się dopiero urwistymi skałami. Setki ptaków wędrownych, w tym burzyk *Puffinus tenuirostris*, mieszczący się w dłoni ptaszek, którego migracja przybiera postać tak zwanej wędrówki pędowej, śmigały nad wyspą, zatrzymując się tylko na przekąskę w lesie deszczowym. Sunday Island służyła tym ptakom za miejsce odpoczynku podczas przelotu na półkulę północną, kiedy na południu zaczynała się jesień.

Nasze mapy wskazywały, że musimy podpłynąć do Sunday Island od zachodu, bo tu otwierała się piękna laguna koralowa. Kiedy pokonaliśmy cieśninę, skierowaliśmy „Dalekie Wiatry” ku małemu pomostowi w połowie długości laguny. Jednym z najpiękniejszych widoków na tej wyspie jest jej najwyższa góra, Mt. Mumukai, która ma wysokość 575 metrów nad poziomem morza i łatwo jest na nią wejść. Jej gęsto zalesiony wierzchołek odcinał się od nieba, a łagodne zbocza zapraszały nas do siebie. Istotny jest również fakt, że na tej bardzo oddalonej od stałego lądu wyspie wytworzył się unikatowy ekosystem, z gatunkami, które można spotkać tylko tutaj. Postanowiliśmy, że następnego dnia wejdziemy na szczyt góry, bo powiedziano nam, że rozciąga się stamtąd niesamowity widok.

Mieszkańcy wyspy, których zadaniem jest utrzymywanie stacji meteorologicznej i radiokomunikacyjnej, pochodzą przede wszystkim od pierwszych więźniów zesłanych z Anglii i mają zupełnie inne podejście do życia. We wszystkim, co robili, nie było pośpiechu. Z jakiegoś powodu wciąż wydawało nam się dziwne, że ci ludzie idą przez życie powoli, ciesząc się ze zwykłych radości swego prostego istnienia. I chociaż mieliśmy wrażenie, że podniósłby im się poziom życia, gdyby więcej pracowali, w głębi serca wiedzieliśmy, że znaleźli coś, czego my sami tak pilnie poszukiwaliśmy.

Tego wieczoru położyliśmy się spać o wczesnej porze, bo nazajutrz mieliśmy wejść od północnej strony na najwyższą górę Sunday Island. Na tej rajskiej wyspie zmierzchowi towarzyszyła łagodna bryza, która delikatnie kołysała łodzią, a drobne falki pływowe pluskały o kadłub. Miliony migoczących światełek pokryły niebo, a księżyc w pełni obrysowywał sylwetkę góry, na którą mieliśmy się wspiąć następnego dnia. Nawet w nocy tropikalne powietrze było przyjemne i tworzyło atmosferę fascynującego ciepła.

Gail patrzyła w dal, powoli pijąc stare czerwone wino.

— O czym myślisz?

— Pamiętasz dzień, w którym wypłynęliśmy z Auckland, Michael? — zapytała, nie odwracając się do mnie. — Po raz pierwszy w życiu straciliśmy z oczu stały ląd i zostaliśmy sami. Pamiętasz, jak ogarnęły nas wątpliwości i zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie zawrócić?

— Jasne, że pamiętam. Czemu pytasz?

— Wyobrażasz sobie, co by było, gdybyśmy wrócili? Omięłyby nas te wszystkie rzeczy, które zawsze na nas czekały i które teraz zaczynamy dla siebie odkrywać. Zadaję sobie pytanie, ile osób uświadamia sobie, jak ważne są niektóre decyzje i jak bardzo wpływają na całe nasze życie.

— To znaczy?

— Widzisz, zanim wyruszyliśmy w tę podróż, byłam tak bardzo pochłonięta własnym światem, że nie zdawałam sobie sprawy, jak daleko, a jednocześnie jak blisko leżały moje marzenia. Dlatego daleko, że czując się bezpiecznie w codziennej rutynie, wmówiłam sobie, że nie ma dla mnie innego czy lepszego życia. Blisko dlatego, że w głębi serca zawsze wiedziałam o istnieniu takich miejsc jak to. Tylko ja sama byłam winna temu, że całe to doświadczenie mnie omijało, bo nie chciałam podjąć ryzyka.

Patrzyłem na nią zamyślony.

— Tak, chyba rzeczywiście podjęliśmy decyzję, która na zawsze zmieni nasze życie, i myślę, że była to odważna decyzja. Łatwo jest powiedzieć, że dokonaliśmy właściwego wyboru, kiedy wiemy, że wszystko idzie dobrze, i łatwiej jest uwierzyć, że wybrane przez nas życie było nam przeznaczone. Instynktownie to wiedzieliśmy, ale to nie znaczy, że zostawienie za sobą całego dotychczasowego życia, nie wiedząc, co przyniesie przyszłość, nie wymagało od nas odwagi.

— Też się nad tym zastanawiałam, Michael. Mam poczucie, że tę decyzję powinniśmy byli podjąć już dawno. Teraz wiem, że im dłużej się czeka z taką decyzją, tym jest ona trud-



niejsza, bo nie zauważając tego, budujemy wokół siebie mur, aby obronić się przed bólem, który może nas dosięgnąć z zewnątrz. Nie uświadamiamy sobie jednak, że przy okazji pozbawiamy się w życiu tych wszystkich cudownych przeżyć i odmawiamy sobie radości mieszkających w tych wszystkich różnych światach, które nas otaczają. Być może liczy się tylko nasza postawa.

Wiatr się wzmógł i w tę rozgwieżdżoną noc wiedzieliśmy, że Gail wyraziła mądrą myśl, która trafi do prezentu pana Blake'a. Książka otworzyła się i na naszych oczach zaczęły pojawiać się litery:

*Decyzje,  
które podejmujemy,  
przesądzają o tym,  
jakie mamy życie.*

Gail

W milczeniu patrzyliśmy na siebie. Gail odezwała się pierwsza.

— Mam nadzieję, że podjęliśmy właściwą decyzję, kochanie — powiedziała.

— Ja też — odparłem.

Obudziliśmy się z pierwszymi promieniami słońca. Niebo było bezchmurne i niewyobrażalnie błękitne. Mieliśmy przed sobą długą drogę, uznaliśmy zatem, że najlepiej będzie wcześniej wyruszyć, żeby nie zaskoczyło nas gorące słońce południa. Zabra-

liśmy ze sobą dużo wody i prowiant na obiad i kolację. Wejście miało potrwać trzy godziny, mogliśmy zatem zjeść obiad na szczycie góry, a przy okazji zaczerpnąć energii i podziwiać zapierające dech widoki.

Mniej więcej w jednej czwartej drogi do góry zobaczyliśmy na lewo od szlaku przejście prowadzące do dużej jaskini. Z tyłu jaskini sączyło się słońce, był to więc raczej naturalny tunel. Źródłem światła w tunelu był mały otwór w suficie. Wcisnąłem się do środka przez niewielką dziurę, na czworakach przeszedłem na drugi koniec tunelu i zachwyciłem się zielonym, dziewiczym obrazem natury czekającym po drugiej stronie.

Mój wzrok padł na coś, co przypominało owoce.

— Gail, skarbie, chodź, zerwiemy trochę owoców.

— Jesteś pewien, kochanie? Nie zgubimy się?

— To niedaleko, odnajdziemy szlak.

Pokonaliśmy niewielką odległość, która dzieliła nas od owoców: największych bananów, jakie w życiu widziałem, żółtych jak poranne słońce.

Wyjąłem scyzoryk, uciąłem jednego, obrałem go i ugryzłem kęs. Mięsz napełnił moje usta rajskim smakiem. Słodycz zaprawiona chłodną, kwaskowatą nutką rozbudziła we mnie apetyt na więcej.

— Gail, spróbuj tych bananów, są pyszne! — zawołałem. i zerwałem dla niej jednego.

Jej zachwycona mina przypomniała mi, jak bardzo ją kocham. Wzięliśmy jeszcze kilka bananów i wróciliśmy na szlak.

Koło drogi ciągle zauważaliśmy endemiczne gatunki roś-

lin, dzięki którym te wyspy wyglądają tak bujnie, zielono i wyjątkowo. Widzieliśmy tutejszego kwitnącego na żółto hibiskusa, „dobrego na wszystko”: z kwiatów robi się lekarstwa, liści używa się do wyściełania pieców z gliny, włókien do wyrobu spódnic, sandałów i lin, a gałęzi do budowy chat. Flora wyżej położonych obszarów wyspy obejmowała pnącza, paprocie i wysokie drzewa, jak również białe kokosy, banany i grejpfruty. Awokado i papaje rosły w takich ilościach, że miejscowi karmili nimi świnie.

Im wyżej wchodziliśmy, tym powietrze stawało się bardziej rozrzedzone i rześkie. Zobaczyliśmy smocze drzewa, które latem kwitły na czerwono. Od czasu do czasu nadlatywał ku nam nietoperz i rzucaliśmy się wtedy na ziemię. Piękne widoki, zwierzęta i ptaki uświadomiły nam, od jak dawna nie czuliśmy się tacy bliscy natury, tacy wolni.

W końcu dotarliśmy na szczyt. Byliśmy zmęczeni, ale czuliśmy się pełni życia. Gail podała mi butelkę z wodą. Po wypiciu paru łyków usiedliśmy. Nadal nie potrafiliśmy przyswoić sobie całego piękna tej chwili.

Jedliśmy przez jakiś czas, który nam wydawał się całą godziną. Ja odezwałem się pierwszy.

- Gail?
- Tak, kochanie?
- Jesteś szczęśliwa?

Nie odwróciła się do mnie, tylko patrzyła na piękne niebo. Słońce było już po zachodniej stronie, a na wschodzie podnosił się księżyc.

— Oczywiście, że jestem szczęśliwa. Siedzę tu z tobą i mogę podziwiać tyle piękna — powiedziała. — Ale wiesz co, Michael? Jest coś jeszcze. Znowu czuję, że żyję. Czuję, że naprawdę istnieję. Myślę, że tak samo się czułam jako mała dziewczynka. — Spojrzała na mnie. — Wiesz, kiedy człowiek jest jeszcze ufny.

Patrzyłem na nią. Leciutko opalona, wyglądała przepięknie. Ciemnozielonymi oczami przypatrywała się górom, gdzie kilka endemicznych majn — żółto opierzonych ptaków, które występują tylko na tych wyspach — okrążyło papaje.

Ciągnął lekki, chłodny wiatr z zachodu, niosąc ze sobą rzadkie chmury. Patrzyliśmy na siebie uśmiechnięci i nie mówiąc ani słowa, zanurzyliśmy się na powrót w przeszłości. Wspominaliśmy...

Obozowanie i odkrywanie natury było kiedyś naszą pasją. Na znak wdzięczności za piękno, które nas otaczało, grywałem na flecie. W głębi serca zawsze wiedziałem, że zespolenie z naturą z dala od ludzi i wytworów cywilizacji jest dobre dla duszy. I dowiedziałem się, że natura ma pewną cudowną cechę: zawsze więcej daje, niż bierze.

Z wielkim żalem opuściliśmy wierzchołek i ruszyliśmy na dół.

Po drodze odkryliśmy niewielki strumień, który wpadał do pięknej lazurovoszmaragdowej laguny. Był taki mały, że przypominał mi wodopoje, które widziałem kiedyś w Australii, nazywane billabong. Ponieważ zapadała noc, postanowiliśmy

założyć tam obóz. Rozpaliliśmy niewielkie ognisko i zjedliśmy ostatnie kanapki, które nam zostały. Później rozprawiliśmy się z zupą dyniową, którą podgrzaliśmy na ognisku.

A potem stało się coś całkiem nowego. Zamiast zacząć rozmowę, jak to zwykle robiliśmy, milczeliśmy. Patrzyliśmy na siebie i zostawiliśmy wszystko mowie miłości. Zapięliśmy śpiwór, objęliśmy się i zaczęli całować. Już dawno nie kochałem się z żoną tak namiętnie. Przez krótką chwilę, tuż zanim nasze ciała złączyły się ze sobą, poczułem się tak, jakbym znowu miał piętnaście lat. I wiedziałem, że Gail znowu jest naprawdę szczęśliwa, bo tak jak kiedyś dawała mi swoją miłość bez żadnych zahamowań.

Od lat nie czułem się taki szczęśliwy i znowu przypominałem sobie jedną z wielkich prawd życiowych.

Zrozumiałem, że marzenia są od tego, żeby je urzeczywistniać...

Uśmiechnęliśmy się do siebie sennie, kiedy obudziliśmy się o wschodzie słońca.

— Masz ochotę wykapać się ze mną w lagunie, Gail? — spytałem.

— Oczywiście!

Rozebraliśmy się i wzięliśmy razem prysznic pod niewielkim wodospadem. Baraszkowaliśmy i śmiałyśmy się jak małe dzieci, kiedy zimna woda spryskiwała nasze nagie ciała. Patrząc na Gail, czułem się niewypowiedzianie szczęśliwy. Po tylu latach znowu byliśmy prawdziwym małżeństwem.

Spojrzałem na nią i nie mogłem uwierzyć swojemu szczęściu. Znowu naprawdę była moją żoną.

Po kąpieli delikatnie wytarliśmy się nawzajem ręcznikiem. Włożyliśmy coś na siebie i na leżąco podziwialiśmy krajobraz. Poranne słońce łagodnie rozpromieniało bezchmurne, jasnobłękitne niebo. Przepiękne czerwone i niebieskie kwiaty przeplatały się z drzewami kauczukowymi, których liście zwiślały nad zieloną trawą. W oddali na zboczu góry można było zobaczyć gromadę białych chat. Po drugiej stronie góry jak okiem sięgnąć ciągnął się nieruchomy ocean.

Odwrociłem się, wyjąłem z plecaka książkę i położyłem ją na trawie. Natychmiast otworzyła się na nowej stronie:

*Szept wiatru  
szmer morza  
napawają nas szczęściem  
że po prostu istniejemy.*

Thomas Blake

Daleko w dole leżało miasto, z którego wyruszyliśmy na wędrowkę, zaledwie wczoraj, ale wydawało się, jakby to było wieki temu. Trzeba było kontynuować zejście. Pakując rzeczy, powiedziałem do Gail:

— Myślisz, że ponownie odkrywamy siebie, prawdziwego Michaela i Gail?

— O tak — odparła Gail. — Jestem o tym absolutnie przekonana, kochanie.

## Rozdział IX



**N**ASTĘPNEGO dnia zbudziłem się o świcie. Tej nocy nie spaliśmy dobrze, bo wzburzone morze i porywisty wiatr szarpały „Dalekimi Wiatrami”. Przez wiele godzin walczyliśmy o utrzymanie łodzi na kursie. Po zejściu z Mt. Mumukai pożegnaliśmy się z kolonią mieszkańców i opuściliśmy wyspy Kermadec. Po przekroczeniu rafy koralowej natrafiliśmy na silny prąd, który płynął w przeciwnym kierunku. Utrudniało to nawigację i oboje musieliśmy pilnować, żeby pracujący na najwyższych obrotach silnik nie zgasł. Na domiar złego lekka martwa fala spychała łódź na bok. Nad ranem zaczęliśmy się wymieniać przy sterze, widząc, że inaczej w ogóle się nie wyśpimy.

W końcu martwa fala zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, tak samo prąd. Natura poddała próbie nasz hart ducha i sądzę, że była z nas zadowolona. „Uznała, że czas dać nam odpocząć”, pomyślałem. Teraz pozostawało tylko sprawdzić, jak bardzo zboczyliśmy z pierwotnego kursu na wyspy Tonga.

Zalałem wrzątkiem zmielone ziarna kawy. Sam zapach był tak rozbudzający, że właściwie nie musiałem pić mocnej czarnej kawy, którą przygotowałem na swoją wachtę. Słońce połyskiwało na wodzie, a w powietrzu unosił się rześki zapach oceanu.

Wyszedłem na pokład, żeby sprawdzić, czy szoty trzymają i ster jest dobrze ustawiony. Zobaczyłem stadko mew. „To dziwne”, pomyślałem. Od najbliższego lądu dzieliło nas co najmniej sto pięćdziesiąt mil morskich, a mewy z reguły widuje się tylko blisko brzegu. Przyniosłem lornetkę i zacząłem przeszukiwać horyzont. Nie minęło dużo czasu, zanim na coś trafiłem.

Tuż poniżej słońca, na wschodzie, było coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak niewielka chmura wisząca nad oceanem. Wytężywszy wzrok, zobaczyłem za tą zasłoną wyspę.

Zszedłem do kabiny, aby rzucić okiem na mapy nawigacyjne. Potem wziąłem instrumenty i ponownie sprawdziłem pozycję. Powtórzyłem wszystkie rachunki, aby się upewnić, że nie popełniłem błędu. Żadnego błędu nie było. Od Tonga, naszego następnego przystanku, dzieliło nas co najmniej pięć dni żeglugi. Wyspy, którą miałem przed oczyma, nie powinno tam być. Uznałem jednak, że to dobry pomysł, aby zawinąć do portu i odpocząć. Powoli przekręciłem ster i skierowałem „Dalekie Wiatry” w stronę wyspy.

Potrzebowaliśmy prawie pół godziny, żeby się do niej zbliżyć. Ponieważ nie miałem żadnych informacji na temat wyspy, musiałem bardzo ostrożnie przekraczać zewnętrzną rafę. Na



szczęście martwa fala, która kołysała nami przez całą noc, całkiem zniknęła, co znacznie ułatwiało mi sprawę. Trzymając mocno ster, nieustannie sondowałem głębokość wody. Po chwili „Dalekie Wiatry” były już w lagunie.

Rozejrzałem się za bezpiecznym miejscem na rzucenie kotwicy. Przed sobą mieliśmy piękną, zaciszną plażę z czarnego piasku, co oznaczało, że wyspa jest pochodzenia wulkanicznego. Popłynąłem tam i rzuciłem kotwicę. „Dalekie Wiatry” stanęły w miejscu.

Usłyszałem głos Gail. Obudziła się, kiedy poczuła, że łódź się zatrzymuje.

— Coś się stało, kochanie?

— Nie, nic — odparłem. — Ale skoro już się obudziłaś, to chodź tutaj i popatrz.

Wyszła na pokład.

— Gdzie jesteśmy? — spytała.

— Nie mam pojęcia. Sprawdziłem na wszystkich mapach i na żadnej z nich ta wyspa nie jest zaznaczona. Może jest za mała.

Nadal rozmawialiśmy, kiedy na plaży pojawiła się grupka mieszkańców wyspy, mężczyźni, kobiety i dzieci. Przypuszczalnie widzieli, jak wpływaliśmy do laguny.

Za ich plecami ciągnęły się trawy, które sięgały aż po gęsty las. Strumienie i potoki spływały po kamieniach i pagórkach do laguny. Chmury rozwiały się, zostawiając jasnożółte słońce na błękitnym niebie. Ciemnoskórzy wyspiarze szli ku nam po piaszczystej plaży.

— Co robimy? — zapytała Gail.

— Czekamy.

Wyspiarze powoli zbliżali się do „Dalekich Wiatrów”, przestępując przez głazy i ostrożnie schodząc po stromej plaży. Pierwszy dotarł do nas około dwudziestoletni młodzieniec. Z jego brązowych oczu biła radość, a łagodny uśmiech dopełniał obrazu rajskiego szczęścia. Miał na sobie tylko przepaskę biodrową i naszyjnik z błyszczącymi białymi zębami jakiegoś zwierzęcia. Rzucił okiem na flagę powiewającą na maszcie i spytał nienaganną angielszczyzną:

— Australijczycy?

— Nie, z Nowej Zelandii — odparła Gail.

Powiedział coś do swoich w ich języku. Pozostałe osoby uśmiechnęły się, pomachały nam na pożegnanie i ruszyły z powrotem w stronę lasu.

Ich anglojęzyczny przedstawiciel powiedział:

— To dla nas wielki zaszczyt, że odwiedzili nas Nowozelandczycy. Nie mamy tutaj zbyt wielu gości. Zamierzacie spędzić w lagunie noc?

— Tak, jeśli wam to nie będzie przeszkadzało...

— Ależ skąd. Poza tym mamy dzisiaj wieczorem w wiosce tradycyjną uroczystość. Chcecie się do nas przyłączyć? Jestem pewien, że nasz wódz byłby bardzo szczęśliwy, gdybyście przyszli.

Porozumieliśmy się wzrokiem.

— Bardzo chętnie.

— Dobrze. Teraz was zostawię, żebyście odpoczęli, i wrócić po was za godzinę.

— Doskonale — odparłem.

— Można wiedzieć, jak ci na imię? — spytała Gail.

— Timu. A wam?

— Ja jestem Gail, a to Michael, mój mąż. Jak się nazywa ta wyspa?

— Numa-Numa.

— Nie mogliśmy jej znaleźć na mapach.

— Zgadza się. Nikt nie wie o tej wyspie i chcemy, żeby tak pozostało. A teraz muszę iść. Wrócę po was za godzinę.

Zgodnie z obietnicą Timu wrócił po godzinie. My w tym czasie umyliśmy się i przebraliśmy. Gail włożyła tenisówki, białe szorty i niebieską koszulę, a ja białe szorty i brązową koszulę. Lekki strój doskonale się nadawał na te tropikalne wieczory. Byliśmy gotowi pomaszerować przez wilgotny las deszczowy.

Szliśmy za Timu przez dżunglę. Dotarcie do wioski zajęło nam mniej więcej pół godziny. Domy były ustawione w koło, a wolna przestrzeń w środku służyła za miejsce zgromadzeń. Wszystkie domy były zbudowane z drewna i liści palmy kokosowej. Sprawiały wrażenie świeżych i komfortowych. Mieszkańcy wioski przygotowywali wielką ucztę i wszyscy pomagali, nawet małe dzieci, które fachowo obierały maniok i rozłupywały kokosy.

Gail podeszła do Timu.

— Timu?  
— Tak, Gail?  
— Gdzie się nauczyłeś tak dobrze mówić po angielsku?  
— To długa historia, ale spróbuję ją streścić. Siadajcie, proszę. — Sam usiadł pod drzewem kokosowym. — Kiedy byłem młody, marzyłem o dalekich podróżach i poznawaniu różnych ludzi. Jak już wam mówiłem, nikt nie wie o tej wyspie. Chcąc poznać świat, musiałem stąd wyjechać. Któregoś dnia wziąłem moją dłubankę i pozwoliłem się ponieść prądom. Po kilku dniach zauważyła mnie załoga łodzi rybackiej, która płynęła ku wschodniemu wybrzeżu Australii, i wzięła mnie na pokład. Po zejściu na ląd zabrali mnie do jakichś ludzi w mundurach. Teraz wiem, że to byli pracownicy urzędu imigracyjnego, ale wtedy strasznie się bałem, bo nie wiedziałem, czego ode mnie chcą. Widziałem, że bardzo się denerwują, bo mnie nie rozumieją, więc zacząłem powtarzać swoje imię — Timu — i nazwę wyspy — Numa-Numa. Dalej jednak nie mogliśmy się porozumieć. Jeden z urzędników przyniósł mapę i chciał, żebym mu pokazał, gdzie jest moja wyspa, ale ja nigdy wcześniej nie widziałem mapy i nie wiedziałem, czego ode mnie oczekują. W końcu dali mnie do obozu internowanych i zaczęli się zastanawiać, co ze mną zrobić. Wtedy sobie uświadomiłem, że jeśli chcę poznawać innych ludzi, to muszę umieć się z nimi porozumiewać. Od tej pory całą energię wkładałem w nauczenie się ich języka. Po jakimś czasie byłem w stanie komunikować się po angielsku i wyjaśnić funkcjonariuszom, co się stało. Zaprzyjaźniliśmy się, dzięki czemu miałem moż-

liwość poznać bliżej ich kulturę. Przyznali mi czasową wizę, dostałem pracę i nauczyłem się płynnie mówić po angielsku. Potem zacząłem oszczędzać pieniądze i można powiedzieć, że powoli wrastałem w tamtejszą kulturę.

— To dlaczego nie zostałeś?

— Bo nie mogłem zrozumieć waszego świata. Stworzyliście wiele wspaniałych wynalazków technicznych, które ułatwiają życie i czynią je bezpieczniejszym, dzięki czemu macie więcej czasu na to, co jest w życiu najważniejsze. Ale zamiast korzystać z wolnego czasu, na który tak ciężko sobie zapracowaliście, ciągle jesteście zajęci. Stale biegacie, wysiadacie z pociągu czy autobusu, żeby wsiąść do następnego i jeszcze następnego, jakby cieszenie się życiem zamiast zarabiania pieniędzy było stratą czasu. Dlaczego budujecie takie wysokie budynki, że zasłaniają słońce? Dlaczego przerwę w pracy wykorzystujecie na jedzenie niezdrowych rzeczy i palenie papierosów? Dlaczego?

— To trudne pytanie, Timu — odparłem — ale spróbuję ci to wyjaśnić. Widzisz, żeby mieć rzeczy, których potrzebujemy...

— Po co potrzebujecie? — przerwał mi Timu.

— Żeby mieć wyższy poziom życia.

— W porównaniu z czym? Chodzi ci o to, że jak kupisz większy dom albo lepszy samochód, to będziesz miał poczucie, że coś w życiu osiągnąłeś? Czy to są prawdziwe skarby, które nadają waszemu życiu sens?

Gail spojrzała na mnie i wiedziałem, co sobie pomyślała.

Nagle zareagowałem tak samo jak dawniej. Mówiłem rzeczy, w które nie wierzyłem, usiłując przekonać tego człowieka do modelu życia, o którym wiedziałem, że pozbawił mnie marzeń i o mało nie zniszczył mojego małżeństwa. Ogarnął mnie wstyd.

Timu rozejrzał się po wiosce.

— Spójrzcie na nich — powiedziały. — To są moje najcenniejsze skarby. Wiedziemy proste życie, ale prawe i autentyczne. Zamiast walczyć ze sobą i cały czas rywalizować, wspólnie rozwiązujemy wszystkie problemy. Dzieci sąsiadów traktujemy jak swoje.

Zatrzymał dziecko, które biegło w stronę gromadki innych dzieci, i zagadał coś do niego w swoim ojczystym języku. Chłopiec odpowiedział, Timu rzucił jeszcze jakąś uwagę i dziecko zanosło się pięknym, szczerym śmiechem. „Jeśli będę kiedyś miał dzieci — pomyślałem — to mam nadzieję, że będą się tak samo śmiały”.

— Co mu powiedziałaś? — zapytała Gail.

Timu zestawił dziecko na ziemię i chłopiec natychmiast pobiegł do kolegów.

— Wyjaśniłem mu, że jesteście dobrymi przyjaciółmi, którzy przepłynęli cały ocean tylko po to, żeby zobaczyć, jak on się bawi.

Jakiś mężczyzna podszedł do Timu, który po krótkiej rozmowie zwrócił się do nas:

— Wszystko gotowe i wódz na was czeka. Chodźcie ze mną.

Weszliśmy w krąg domów. Wszyscy już się tam zebrali. Na środku siedział starzec w otoczeniu mężczyzn i kobiet. „To musi być wódz”, pomyślałem.

Timu poprosił nas, żebyśmy usiedli obok niego naprzeciwko starca. Zamienili kilka zdań i Timu powiedział do nas:

— Nasz wódz Tamuni jest bardzo szczęśliwy, że może was ugościć, więc zebraliśmy się tutaj z wami. Wódz Tamuni chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o świecie, z którego przybywacie. Opowiedziałem mu o swoich doświadczeniach, co znacznie wzbogaciło jego mądrość. Teraz chciałby wiedzieć, dlaczego jesteście tutaj, tak daleko od waszego świata.

Spojrzałem na Gail.

— Ty odpowiedz — zdecydowała.

Usiadłem na liściach palmy kokosowej, które dla nas przygotowali, i zastanowiłem się, co mam rzec.

— Wodzu Tamuni, chociaż zadałeś mi trudne pytanie, spróbuję na nie odpowiedzieć najprościej, jak umiem. Postanowiliśmy wyruszyć w podróż po południowym oceanie, bo zmęczyło nas życie, które wiedliśmy w mieście. Czuliśmy, że życie przechodzi obok nas i że nie żyjemy tak, jak chcemy, czyli w pełni. Uznaliśmy, że dzięki tej decyzji znowu poczujemy, że naprawdę żyjemy, i nadamy naszemu życiu cel i sens. Wyruszyliśmy zatem w podróż i niechcący trafiliśmy tutaj.

Timu przetłumaczył te słowa wodzowi i reszcie mieszkańców. Rozległy się pomruki. Wódz uciszył wszystkich ruchem dłoni. Przemówił do nas, ale nic nie rozumieliśmy. Kiedy skończył, Timu przełożył jego słowa:

— Wódz Tamuni mówi, że nie sprowadził was tutaj przypadek, bo on ma wam coś do przekazania. Mówi, że dla niektórych ludzi czas jest wrogiem, który ściga ich aż do śmierci. To jest strach trawiący ludzi, którzy wiedzą, że marnują swoje życie. Czas zawsze będzie dla nich najgorszym wrogiem. Ale dla tych, którzy odnaleźli spokój ducha i zrozumieli istotę śmiertelności, czas staje się milczącym towarzyszem, skarbem, przypomnieniem, żeby rozkoszowali się każdą chwilą życia, pamiętając, że nie jest nam ono dane na zawsze. Czas nie jest naszym najgorszym wrogiem, lecz najlepszym sprzymierzeńcem.

— Łatwo wam tak mówić — odparłem. — Żyjecie w tym cudownym raju i nie macie żadnych zmartwień, bawicie się z dziećmi i zdobywacie tyle żywności, ile wam potrzeba. Tam, skąd przybywamy, rządzi rywalizacja i pazerność, bo każdy chce być najlepszy. Ciężko pracujemy, żeby zarobić na życie i zabezpieczyć przyszłość sobie i naszym rodzinom.

Wódz z powagą wysłuchał tłumaczenia Timu, odpowiedział mu i uśmiechnął się do nas.

— Cudowny raj, o którym mówicie — przekładał Timu — nie znajduje się wokół nas ani tam, skąd przybywacie, tylko w nas samych. Kiedy człowiek do niego dotrze, przestaje się przejmować tym, co go otacza, bo nie musi porównywać się z innymi ani udowadniać im swojej wartości. Wtedy może ze szczerego serca zdecydować, kim jest i kim naprawdę chce być. Może zbudować własny, wyjątkowy raj.

Wódz wygłosił jakąś uwagę.



— Co powiedział? — spytała Gail.

— Że będziecie musieli przemyśleć te sprawy, kiedy wrócicie na swoją łódź i przeczytacie to, co jest napisane w księdze.

— Skąd wie o księdze? — zdziwiłem się.

— Nasz wódz przemawia sercem — odparł z uśmiechem Timu — i umie wyczytać w waszych oczach te same pytania, które sam kiedyś miał, pytania, które wszyscy sobie zadajemy. Wódz wie, że w księdze są na nie odpowiedzi. Poznał je również samotny biały mężczyzna, który przed wielu laty przyłynął na naszą wyspę, taką samą łodzią jak wasza. — Timu uśmiechnął się i wstał. — Czas zacząć ucztować.

Po długim wieczorze ucztowania i tańczenia pożegnaliśmy się z mieszkańcami wioski. Pod rozgwieżdżonym niebem, otoczeni szczerymi uśmiechami tubylców, jedliśmy egzotyczne dania z miejscowych ryb i warzyw i piliśmy mleko kokosowe, które nadawało szczególny smak tym niezwykłym potrawom. Potem Timu odprowadził nas na plażę, gdzie cierpliwie czekały na nas „Dalekie Wiatry”. Na brzegu młody człowiek po raz ostatni uściśnął nam dłonie.

— Proszę, nie mówcie nikomu o tej wyspie. Wtedy zawsze będziecie tutaj mile widziani.

— Nikomu nie powiemy — odparła Gail. — Możemy ci to obiecać.

— Świetnie! — ucieszył się Timu. — Zegnajcie, przyjaciele. Możecie zostać w lagunie, ile chcecie.

— Dziękuję, Timu.

Ruszył w stronę lasu deszczowego, by po parunastu krokach odwrócić się i zawołać:

— Nie zapomnijcie zajrzeć do książki...

Zanim zdążyliśmy odpowiedzieć, zniknął nam z oczu.

Tę noc spędziliśmy w lagunie otaczającej ten piękny klejnot, który znaleźliśmy na środku oceanu.

Gail zagotowała wodę na herbatę. Podczas pobytu w wiosce nakarmiono nas jak koronowane głowy. Bawiliśmy się z dziećmi, a ze starszyzną wymieniliśmy się drobnymi podarkami.

— Życie, które mamy, naprawdę jest darem, kochanie — powiedziała Gail. — Nie umiałabym sobie wyobrazić wszystkich tych nowych rzeczy, które przeżywamy podczas naszej wyprawy.

— Ja też nie — odparłem. — Mądrych ludzi można znaleźć wszędzie.

— Dokąd prowadzi droga, Michaelu?

— Nie rozumiem.

— Dokąd zabierze nas ta przygoda? Pamiętasz, co powiedział wódz Tamuni o prawdziwym raj, który jest w nas samych? Sądzę, że chciał nam powiedzieć, co jest naprawdę w życiu ważne. Ale co dokładnie chciał nam w ten sposób przekazać?

Siedzieliśmy na pokładzie „Dalekich Wiatrów”, kiedy wiatr znowu delikatnie otworzył nasz największy skarb,

umieszczony w specjalnym miejscu, które dla niego znaleźliśmy, po prawej stronie naprzeciwko kabiny, osłonięty przed deszczem i gorącym, ale nie przed wiatrem:

*Chorobę ciała  
można na jakiś czas uleczyć,  
ale choroba ducha bywa  
nieuleczalna, bo potrafi  
przetrwąć śmierć ciała.  
Choroba ciała umiera wraz z nim,  
ale choroba, która trawi ducha,  
umiera dopiero razem z wiecznością.  
Wylecz chorobę, która trawi ducha,  
a zaprawdę będziesz żył wiecznie.*

Tamuni

Padliśmy sobie w ramiona, bo czuliśmy, że otrzymaliśmy odpowiedź na nasze pytania. W świetle księżyca w pełni pocałowaliśmy się i pływaliliśmy nago w spokojnych wodach laguny. Kochaliśmy się jak nastolatki, z niewinnością tych, którzy widzą nie tylko oczami, ale także sercem. Jedynymi świadkami tej nocy prawdziwej miłości i prawdziwego światła były delfiny, kormorany i mewy zamieszkujące lagunę...

## Rozdział X

**P**ODRÓŻOWANIE z jednej wyspy na drugą samo w sobie było przygodą.

Całymi dniami żeglowaliśmy po oceanie, nie widząc żadnych ludzi. To było cudowne żyć razem z Gail tak blisko natury. Dzieliliśmy czas ze wszystkimi stworzeniami, które zamieszkiwały powietrze i wodę mórz południowych.

Często podziwialiśmy lot olbrzymiego albatrosa, który zygakował po niebie, stale poszukując smacznych makreli, zamieszkujących ten zakątek świata. Jego śladami leciały mewy, czyhając na resztki pozostawione przez olbrzymia. Od czasu do czasu widywaliśmy kormorana, który fachowo dawał nura w wodę, nigdy nie chybiał i łowił ryby jak zawodowiec. Najpiękniejsze przeżycia wiązały się jednak z delfinami, które za nami ciągnęły.

Różne gatunki delfinów płynęły w kilwaterze naszej łodzi. Wyskakiwały z wody i wykonywały fikołka do tyłu, białymi brzuchami do góry. Nauczyliśmy się je odróżniać: butlonos,

delfin zwyczajny, morświn, delfin pręgoboki i wiele innych. Zjawiały się stadami liczącymi do setki sztuk. Igrały na falach wzbudzanych przez „Dalekie Wiatry”, tworząc cudowny spektakl, którego z brzegu nie można oglądać.

Pewnego dnia zaintrygował nas jakiś dźwięk, który zdawał się dochodzić z głębin oceanu. Początkowo nie wiedzieliśmy, co ten dźwięk oznacza i kto lub co go wydaje. Z upływem dni, w miarę jak przesuwaliśmy się coraz bardziej na północ, słyszeliśmy go coraz częściej. Wreszcie pewnego rześnionego ranka zobaczyliśmy sprawców. Były to humbaki, wieloryby niegdyś rozpowszechnione na tych wodach, ale dziesiątki lat temu prawie całkowicie wytrzebione przez wielorybników. Teraz chroni je prawo międzynarodowe i ich liczebność powoli, lecz systematycznie rośnie. Tak jak to czyniły od tysięcy lat, migrują na północ z antarktycznych mórz w poszukiwaniu cieplejszych wód, w których przychodzą na świat ich młode.

Gail z zapartym tchem wpatrywała się w te olbrzymy, które skakały i baraszkowały wśród fal.

— Masz świadomość, Michael, że wieloryby w gruncie rzeczy przez cały rok migrują z miejsca w miejsce? Jeśli widujemy je tylko jesienią, to dlatego, że wtedy przepływają w pobliżu Auckland, ale tak naprawdę podróżują przez okrągły rok.

— Zapewne masz rację — odparłem. — Sądzymy, że migrują tylko wtedy, kiedy widzimy je u brzegów Nowej Zelandii, bo tam jest nasz świat. Teraz już wiemy, że istnieją tysiące rów-

noległych światów, z których wszystkie są prawdziwe. Widzimy tylko niektóre z nich, zależnie od tego, gdzie się znajdujemy i co robimy. W tym momencie przebywamy w równoległym świecie, w którym możemy zobaczyć humbaki migrujące na północ miesiąc później, niż to widzimy w swoim mieście.

Gail spojrzała na mnie badawczo.

— Czyli uważasz, że światopogląd zależy nie tylko od tego, kim jesteś, ale także gdzie jesteś?

— Właśnie. I w pewnym stopniu jeszcze od czegoś: w ilu miejscach już byliśmy. Podróżując, człowiek dowiaduje się z pierwszej ręki, co istnieje realnie. Ja teraz odkrywam, że poznawszy różnych ludzi i różne miejsca, widzę świat takim, jaki on naprawdę jest, co otwiera przede mną nowe możliwości wyboru drogi życiowej. Kiedy człowiek oddali się od stałego miejsca zamieszkania, zaczyna rozumieć różne światy, które go otaczają. To naprawdę poszerza horyzonty.

Gail uśmiechnęła się do mnie.

— Mówisz także o naszych osobistych horyzontach, Michaelu?

Podszedłem do niej i pocałowałem ją.

— Przede wszystkim o nich, Gail. Myślałem, że na zawsze cię straciłem, ale teraz zrobię wszystko, aby zatrzymać cię przy sobie na wieki.

Czule położyła mi głowę na ramieniu.

— Och, Michael, tak bardzo mi ciebie brakowało, i to od bardzo dawna. Nie wiedziałam, jak odzyskać twoją miłość, ale teraz nareszcie czuję, że wróciłeś. Prawdziwa miłość mojego

życia, mężczyzna, w którym się zakochałam od pierwszego wejrzenia. Już nigdy nie odchodź. Przyrzekasz mi to?

— Już nigdy nie zostawię cię samej, Gail.

Obserwowałem majestatycznego wieloryba, który bawił się ze swoim nowo narodzonym dzieckiem.

— Gail, podczas tej wyprawy nauczyłem się między innymi, że nie istnieje szczęście, istnieją tylko szczęśliwe chwile. I jeśli nauczymy się cenić te momenty prawdziwego światła, to nasze życie będzie spełnione. Odkąd wypłynęliśmy z Auckland, przeżyliśmy razem wiele szczęśliwych chwil, nie uważasz?

W tym momencie książka się otworzyła. Gail spojrzała na mnie.

— Pusta strona — powiedziała. — Masz jakieś pomysły?

— Tak — odparłem z uśmiechem. — Spójrz jeszcze raz. Obserwowała pustą stronę.

*W życiu nie chodzi o to,  
co człowiek posiada,  
tylko co robi.*

Michael

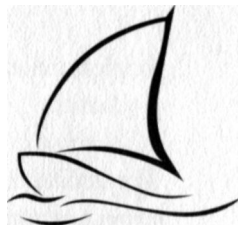
— Jak to zrobisz? — zapytała. — Nie słyszałam, żebyś coś mówił.

Wieloryby wydmuchiwały przez otwory oddechowe potężne fontanny wody, jakby na znak, że się ze mną zgadzają.

— Bo nie mówiłem — odparłem. — Sądzę, że uczymy się wielu rzeczy, których można doświadczyć tylko wtedy, kiedy człowiek idzie za swoimi marzeniami.



## Rozdział XI



**P**RZEZ dwanaście dni żeglowaliśmy po otwartym morzu. Tutaj, gdzie żaden ląd nie zasłaniał nam widoku, mogliśmy oglądać każdy wschód i zachód słońca. Już wcześniej zauważyliśmy, że nie ma dwóch identycznych wysp. Teraz uświadomiliśmy sobie, że to samo dotyczy wschodów i zachodów słońca, których byliśmy świadkami.

Kiedy brzeg tarczy, którą nazywamy słońcem, skrył się za odległym horyzontem, niebo ulegało niesamowitym zmianom, pokazując nam szeroką gamę kolorów. Zdawało się, że wisi nad nami paleta, która każdego dnia przybiera inne zabarwienie. Czasem ogniste kolory chmur ostro ze sobą kontrastowały, czasem znowu całe niebo było zasnut subtelnymi odcieniami błękitu. A po gwałtownych burzach, których tutaj natura wiele ma w zanadru, pojawiały się tęcze, niekiedy dwie albo trzy pod rząd. W żadnym innym miejscu świata nie byłibyśmy w stanie doświadczać natury w jej najpełniejszym,

najpiękniejszym, a przede wszystkim najmniej zafałszowanym wydaniu.

Trzynastego dnia po wyruszeniu z wyspy Numa-Numa narreszcie przybyliśmy do Królestwa Tonga. Planowaliśmy zatrzymać się tutaj na parę tygodni i objechać wyspy.

Królestwo Tonga dzieli się na cztery główne grupy wysp: Tongatapu na południu, ze stolicą Nukualofa, Ha'pai w środku, rozsiany archipelag niskich wysp koralowych z podniebnymi wulkanami, Vava'u z olbrzymim naturalnym portem i na północy trochę odsunięte wulkaniczne Niuas. Ponieważ kończyły nam się zapasy żywności i paliwa, postanowiliśmy zawinąć do Vuna Wharf, głównego portu stolicy Królestwa Tonga. Po uzupełnieniu zapasów i sprawdzeniu, czy „Dalekie Wiatry” nie doznały jakichś mechanicznych usterek, zamierzaliśmy popłynąć na bardziej oddalone Niuas, ponieważ postanowiliśmy spędzić więcej czasu sami.

Zakotwiczyliśmy w Nukualofie, stolicy Tonga i najruchliwszym porcie. Przywitała nas grupa tubylców. Kiedy człowiek widzi po raz pierwszy mieszkańca Tonga, wtedy rozumie, dlatego wyspy te nazywa się „krajem przyjacielskich olbrzymów”. Choć Tongijczycy są wielcy i silni, uśmiechają się jak dzieci. Są otwarci i życzliwie odnoszą się do przybyszów. Bogactwem Tonga są przede wszystkim obyczaje i mieszkańcy tych wysp. Tongijczycy są wyjątkowo serdeczni, spokojni i pozbawieni poczucia czasu. Lubią się bawić i droczyć ze sobą nawzajem, jak również z sympatycznymi przybyszami. Mówi

się, że kiedy Tongijczyk straci swój uśmiech, to powoli robi się zimny i umiera.

Na końcu pomostu znajdował się jeden z typowych sklepów wielobranżowych dla takich klientów jak my. Z reguły sklepy te były zaopatrywane przez lokalnych dostawców, co dodawało naszej podróży uroku: stawaliśmy się ekspertami w gotowaniu zdrowych egzotycznych potraw z produktów typowych dla tych tropikalnych wysp.

Zostawiłem Gail na „Dalekich Wiatrach” i poszedłem do sklepu, żeby uzupełnić zapasy żywności i zaopatrzyć się na następne dwa tygodnie. Tym razem kupiłem taro, ignam, maniok, owoce drzewa chlebowego, słodkie ziemniaki, ryby i gotowane liście taro. Wziąłem też klucz do śrub, bo stary się złamał, oraz płyn chłodzący, smar, olej i tym podobne. Po powrocie z zakupów zastałem Gail na rozmowie ze starym Tongijczykiem, który nalewał benzynę do baku.

Wszedłem na pokład.

— Gail, myślę, że znalazłem wszystko, czego potrzebujemy.

— To świetnie, kochanie. Mógłbyś tutaj przyjść?

— Oczywiście.

Wyskoczyłem z kokpitu, by podejść do Gail i Tongijczyka.

— Michael, pozwól, że cię przedstawię George'owi.

— Miło pana poznać, George.

Człowiek ten miał metr osiemdziesiąt wzrostu i silny ucisk dłoni. Teraz znacznie bardziej wiarygodna stała się dla

mnie historia opowiedziana przez kapitana Cooka, który popłynął na wyspy Tonga słynnym „Endeavour”: Cook relacjonował, że pewnego wieczoru grupa Tongijczyków udzieliła jego załodze niezapomnianej lekcji boksowania.

— Dobry wieczór, Michael — odparł George.

— George pracuje tu od dawna i poznał wielu żeglarzy — powiedziała Gail z dyskretnym uśmiechem, który natychmiast zauważyłem.

— Dobra, Gail, o co chodzi?

— Pana żona mi powiedziała, że pan kupił tę łódź. To prawda?

— Oczywiście.

— A gdzie?

— W Auckland.

— To dziwne — zadumał się George. — Co „Dalekie Wiatry” by robiły w Auckland?

— Czemu to jest dziwne? — spytałem.

— Michael, ja nie mówiłam George'owi, jak nazywa się nasz jacht.

— Jak to?

— To on na wstępie mi powiedział, że już dawno nie widział „Dalekich Wiatrów” na wyspach Tonga.

— Pamięta pan, kim był właściciel? — spytałem George'a.

— Ta łódź miała wielu właścicieli, samych miłych ludzi. Nigdy ich nie zapomnę. Nigdy.

— Dlaczego?

— Mieli coś takiego w oczach — odparł George. — Inaczej błyszczały.

Gail i ja wymieniliśmy spojrzenia.

— A pamięta pan, kto był pierwszym właścicielem „Dalekich Wiatrów”? — spytałem.

— O, tak. Nigdy go nie zapomnę. Niski, dobry żeglarz, ale takich grubych okularów to u nikogo innego nie widziałem.

Pot wystąpił mi na czoło.

— Pamięta pan, jak się nazywał?

— O, tak. Pan Thomas.

Gail uśmiechnęła się do mnie, po czym parsknęła śmiechem.

— Bez wątpienia podążamy właściwą drogą — powiedziała. — A teraz zrealizujemy nasz własny plan, popłyniemy na Niuas i odkryjemy własny szlak, kochanie. Spróbujmy być wyjątkowi, Michael. Ty i ja.

Potrzebowaliśmy prawie tygodnia spokojnej żeglugi, aby dotrzeć do Niuafu'u, położonej najdalej na północ wyspy z grupy Niuas. Jeśli szukaliśmy samotności, to z pewnością ją znaleźliśmy. Niuafu'u do dziś pozostaje jedną z najbardziej oddalonych od cywilizowanego świata wysp na ziemi. Statek z dostawami przypływa mniej więcej raz w miesiącu, ale na wyspie nie ma przystani. Przez wiele lat Niuafu'u otrzymywało pocztę w zawiniętych w ceratę kanistrach rzucanych za burtę przepływającego frachtowca do czekających pływaków.

Było to doskonałe miejsce, by odizolować się od świata: tylko my dwoje, razem z „Dalekimi Wiatrami”, które wiozły nasz skromny ziemski dobytek.

Na świecie zostało niewiele miejsc, w których człowiek ma poczucie, że obcuje z nieskażoną naturą. Niuafu'u z pewnością należy do tych klejnocików. Siarkowe wyziewy i lawa dobywały się z zapadniętego krateru wulkanu, który niegdyś miał ponad czterysta metrów wysokości. Inny krater tworzył barierę, która zatrzymywała gorącą wodę, a w jego wnętrzu znajdowało się jeszcze jedno jezioro. Kąpiele w tych siarkowych lagunach były największym luksusem, który miała do zaoferowania Niuafu'u. W żyznej wulkanicznej glebie rosły jedne z największych i najbardziej kolorowych roślin na świecie.

Całymi dniami penetrowaliśmy wyspę i podziwialiśmy jej skarby, a noce spędzaliśmy na pokładzie „Dalekich Wiatrów”. W ciepłym wietrze z północy palmy kokosowe przytulały się do siebie, zupełnie jak my. Poczułem, że zaraz zacznie się jedna z tych rozmów, które sprawiały mi tak wielką przyjemność i dzięki którym byliśmy sobie bliżsi niż kiedykolwiek. Teraz, kiedy ponownie odkryliśmy siebie nawzajem i odbudowaliśmy naszą miłość, „Dalekie Wiatry” pomagały nam zstępować w głąbiny naszego związku, które wcześniej były dla nas niedostępne. Uzmysłowiłem sobie, że ta piękna kobieta imieniem Gail jest połączeniem wielu wspañałych kobiet; niektóre z nich dopiero zaczynały nabierać kształtu w mojej świadomości.

— Wierzysz w życie po śmierci, Michael? — spytała nagle.

— Proszę?

— Chodzi o to, czy naprawdę wierzysz, że kiedy odejdziemy z tego świata, spotkamy się gdzie indziej, w jakimś innym miejscu?

— Trudno powiedzieć. Ale po doświadczeniach ostatnich kilku miesięcy jedno mogę ci powiedzieć na pewno, Gail.

— No?

Patrzyłem na księżyc w pełni, który wisił pionowo nad nami.

— Naprawdę wierzę w życie przed śmiercią, Gail. Nie tylko dlatego, że widziałem te wszystkie cudowności. Także nauki naszych przyjaciół z książki mnie do tego przekonały. Czasem mam wrażenie, że chcieliby wrócić na świat, tylko na chwilę, żeby sobie przypomnieć, dlaczego napisali tyle pięknych rzeczy o życiu na tej planecie. Czy myślę, że jest życie po śmierci? — podjąłem po krótkiej przerwie. — Nie wiem, Gail, ale mam taką nadzieję. Ta podróż przyniosła odpowiedzi na pytania, o których myślałem, że już na zawsze pozostaną bez odpowiedzi. Może jeśli nie umiemy sobie na to odpowiedzieć teraz, to będziemy umieli w przyszłości. Może jeszcze tego nie wiemy, ale odpowiedź już jest i czeka, żebyśmy ją odkryli. Jedno jest pewne, Gail. Nie umiem sobie wyobrazić życia bez ciebie i gdybyś z jakiegoś powodu odeszła przede mną, to tylko jedna myśl będzie mnie trzymała przy życiu: że jeszcze cię spotkam, w jakimś miejscu, gdzie będziemy ze sobą przez całą wieczność.

Gail podeszła do mnie i czule mnie objęła. Nic nie mówiła, ale wiedziałem, że płacze.

— Myślę, że zaczęliśmy budować swój raj na ziemi, nie uważasz? — spytałem.

Pocałowała mnie i odparła:

— Nieważne, w jakim świecie będziesz żył i w jakim wymiarze czasowym będziesz istniał, Michaelu Thompson, ja cię znajdę i razem spędzimy wieczność.

Po trzech tygodniach życia w spełnionych marzeniach byliśmy fizycznie i psychicznie gotowi opuścić Tonga. Nawet nasza stara, wierna książka nam pomogła, otwierając się, chociaż nie prosiliśmy jej o radę.

*Wyobraź coś sobie,  
a osiągniesz to.  
Wymarz coś sobie,  
a staniesz się tym.  
Zaufaj sobie,  
bo wiesz więcej,  
niż sądzisz.*

Thomas Blake

Opowieści, które słyszeliśmy, lekcje, które wyciągnęliśmy z naszych rozmów, i ludzie, których poznaliśmy, wzmocniły w nas poczucie naszego prawdziwego ja. Wiedzieliśmy teraz, że każdy nowy dzień prowadzi nas w stronę modelu życia, o którym zawsze marzyliśmy, i że stajemy się ludźmi, którymi zawsze chcieliśmy być.



## Rozdział XII



**P**ÓŁUDNIOWY Pacyfik to doskonały akwen do żeglowania. Szlaki wodne nie są zbyt uczęszczane i nie ma tu piractwa, jakie można spotkać na wodach śródziemnomorskich lub indonezyjskich. Główna trasa żeglarska przez południowy Pacyfik wykorzystuje północno-wschodnie i południowo-wschodnie pasaty ciągnące od Nowej Zelandii aż po Tahiti.

Pokonywaliśmy średnio osiemdziesiąt mil dziennie, dzięki czemu mieliśmy mnóstwo czasu na poznanie wysp, które nam się najbardziej podobały, na spotkania z mieszkańcami i zakosztowanie ich kultury.

Kolejnym cudem natury były liczne wielkie rafy koralowe, na które trafialiśmy podczas naszej podróży. Rafy wokół dużych wysp, choć bardzo piękne, nie mogły dorównać swoim urokiem małym rafom zwanym atolami. Te okrągłe lub podkowiaste rafy koralowe, zajmujące tylko maleńką część powierzchni południowego Pacyfiku, są ponacinane roziskrzonymi zatoczkami, których wody tętnią życiem. Na materii

organicznej naniesionej przez gwałtowne sztormy wyrasta tam bujna roślinność. Do tych wysokich na metr do dwóch atoli z reguły można wpłynąć tylko od strony zawietrznej.

Był bezchmurny poranek, kiedy zobaczyliśmy na horyzoncie najbardziej wysuniętą na południe z trzystu dwudziestu dwóch wysp Fidzi. Kiedy zbliżyliśmy się do lądu, ujrzeliśmy, że wyspa ma piękną lagunę otoczoną rafą. Postanowiliśmy znaleźć bezpieczne przejście do laguny. Ostrożnie manewrowałem „Dalekimi Wiatrami” po płytkim koralu, który rozciągał się wokół nas. Woda z ciemnozielonej zrobiła się jasnoniebieska.

W końcu dotarliśmy do wschodniej części laguny, gdzie zarzuciliśmy kotwicę.

— Na co masz ochotę? — spytałem Gail.

— Możemy pójść ponurkować z rurką. Nie sędzę, żeby tu były rekiny, a nawet jeśli są, to raczej nic nam nie zrobią.

— Pierwszorzędny pomysł! Przyniosę z kabiny sprzęt.

Zszedłem na dół po maski, rurki i płetwy. Zabrałem to wszystko na pokład, gdzie czekała już na mnie Gail. Szybko się uwinęliśmy, bo w tych ciepłych tropikalnych wodach nie było potrzeby nakładać kombinezonu, wystarczała koszula dla osłony przed słońcem. Błyskawicznie znaleźliśmy się w wodzie.

Jeśli ktoś nie pływał po rafie koralowej, to ominął go jeden z największych cudów natury. Nie da się przejść przez dziewiczy las, bo w dziewiczym lesie nie ma ścieżek. Tymczasem można pływać nad nietkniętymi przez człowieka rafami, najgęściej zamieszkanymi przestrzeniami życiowymi na ziemi

— i czuć się tak, jakby człowiek latał. Dno morza mieni się wszystkimi barwami tęczy, a żywe polipy dodatkowo przydają uroku temu wszystkiemu. Przez dziury i szczeliny pływały rozmaite gatunki ryb, olśniewając barwami i kształtami. Rafa powstaje z nawarstwienia się milionów maleńkich wapiennych szkieletów niezliczonych pokoleń maleńkich polipów, czasem wielkości główki od szpilki. Chociaż szkielet z reguły jest biały, polipy przybierają wiele barw. Korалowe lasy dają bezpieczne schronienie ustniczkom, chetonikom, granikom, hajduczkom, rogatnicom i setkom innych gatunków ryb. Są też maleńkie ośmiornice i kraby, jaśniejsze kolorami, które sprawiają, że dno morza wygląda jak rajski ogród. Unosiliśmy się nad dnem jak w powietrzu, podziwiając te wszystkie cudowne stworzenia.

Po trzech godzinach zwiedzania rafy koralowej w końcu wyszliśmy z wody. Chociaż byliśmy zmęczeni, głodni i poparzeni słońcem, to, co widzieliśmy, wciąż napełniało nas bezbrzeżnym zachwytem.

Spędziliśmy w tym atolu następne trzy dni. Rano i po południu nurkowaliśmy, bawiąc się z rybami, które tak się do nas przyzwyczały, że jadły nam z ręki. Od czasu do czasu w lagunie zjawiał się delfin, który obserwował nas i w końcu podpływał, żeby przyłączyć się do zabawy. Kilka razy zobaczyliśmy niegroźne koralowe rekiny, które krążyły po rafie w poszukiwaniu ryb. Z początku trochę się baliśmy, ale potem uświadomiliśmy sobie, że jest to wyłącznie reakcja na historie grozy, którymi nas karmiono. Zamiast się bać, zaczęliśmy podziwiać rekiny w ich naturalnej przestrzeni życiowej.

Drugi wieczór w atolu był bezchmurny, z milionem gwiazd i księżycem w pełni na firmamencie. Fale oceanu pluskały o zewnętrzną rafę. Gail przygotowała pyszną kolację: filety z soli z lekko podduszonymi warzywami i dzikimi orzechami, w panierce z parmezanu z odrobiną czosnku. Miska miejscowych owoców tropikalnych, drobno pokrojonych i polanych miodem, uzupełniała to menu rodem z marzeń. Uznałem, że jest to doskonały moment, żeby otworzyć ostatnią butelkę nowozelandzkiego chardonnay, którą zarezerwowaliśmy na specjalną okazję.

- Przygotowałaś wspaniałą kolację, Gail.
- Dziękuję, kochanie.

Napiliśmy się wina i patrzyliśmy na gwiazdy. Czuliśmy się w tej chwili tak blisko siebie! Kiedy siedzieliśmy sami na lekko rozkołysanym pokładzie „Dalekich Wiatrów”, czuliśmy się przepełnieni sobą nawzajem i ogarnęła nas potrzeba rozmowy.

Spojrzeliliśmy na siebie i nie mogąc znaleźć właściwych słów, chwyciliśmy się za ręce i szukaliśmy porady w naszej wiernej książce. Wiatr od zachodu otworzył ją delikatnie:

*Aby odkryć prawdę,  
potrzeba dwóch osób:  
jednej, która ją wypowie,  
i drugiej,  
która jej wysłucha.*

Kahlil Gibran

- Gail?
- Tak, kochanie?
- Zastanawiałem się ostatnio nad naszą podróżą.
- A konkretnie?

Zajrzałem do kieliszka z winem, pogrążony w zadumie.

— Jestem zachwycony, że podjęliśmy tę decyzję i że cię odzyskałem. Ale chociaż wiem, że wszystko zmienia się na lepsze, coś mnie dręczy.

- Co takiego?

Po jej twarzy przebiegł cień.

— Wiesz, kiedy pracowaliśmy, miałem poczucie, że do kądś zmierzamy, że idziemy za przykładem innych, że żyjemy tak jak trzeba. Teraz, kiedy odkryliśmy te wszystkie światy, już nie wiem.

- Czego nie wiesz? — spytała zaintrygowana Gail.

— Nie umiem dokładnie określić, jaki jest cel tej podróży. Kiedy pracowaliśmy na naszą przyszłość, mieliśmy jakąś miarę sukcesu, wiedzieliśmy, co dla nas znaczy sukces. Teraz nie jestem już pewien, co znaczy sukces.

Gail utkwiała wzrok w horyzoncie.

— Sukces można mierzyć na różne sposoby — powiedziała. — Chcesz chyba powiedzieć, że w świecie, z którego pochodzimy, miarą sukcesu jest wielkość domu, który się ma, albo marka samochodu, którym się jeździ, czy ubrań, które się nosi. Nagle znaleźliśmy się w zupełnie innym świecie, w którym wszystkie te rzeczy nie mają znaczenia, i uświadomiliśmy sobie, że są ważne tylko w naszym społeczeństwie, nigdzie indziej.

— Co próbujesz mi powiedzieć?

— Próbuję ci powiedzieć, że odnieśliśmy sukces, Michael. Postanowiliśmy wyruszyć w tę podróż, nie mając pojęcia, co przyniesie nam przyszłość. Teraz znajdujemy się na środku oceanu, na bezimiennym atolu. Naszymi jedynymi świadkami są gwiazdy i wiatr i rozkoszujemy się każdą spędzoną tutaj chwilą. Nie zamieniłabym tej chwili na wszystkie skarby świata. Czuję się dostatecznie bogata, mając ciebie, mając osobę, którą sama się staję, i mogąc oglądać cuda tego świata. Nie zapominaj, że nie ma przed nami wytyczonej, oznaczonej drogi, Michael. Budujemy własną, wyjątkową drogę, mając za przewodnika wyłącznie nasz instynkt i siłę naszej miłości. Myślę, że to już jest coś.

Miała rację. Nie było nic ważniejszego od chwil, które właśnie przeżywaliśmy. Tego, co czuliśmy w naszych sercach, nie można było kupić za wszystkie pieniądze świata. I zaczęliśmy sobie uświadamiać, że to samo możemy czuć wszędzie, może nawet po powrocie do kraju, bo coś się w nas zmieniało.

Uświadomiliśmy sobie, że wszędzie możemy być ludźmi, którymi chcemy być, pod warunkiem że nie stracimy z oczu tego, co jest w życiu ważne, czyli rzeczy, które przez całą tę podróż uczyliśmy się rozpoznawać.

Znowu powiał łagodny wiatr z zachodu. Gail i ja spojrzeliśmy na siebie uśmiechnięci. Książka otworzyła się na nowej stronie.

*Kluczem do szczęścia  
są marzenia.  
Kluczem do sukcesu  
jest realizacja  
tych marzeń.*

Gail i Michael

— Tym razem zrobiliśmy to wspólnie — powiedziałem.  
— Oboje pomyśleliśmy to samo i suma naszych przemyśleń  
znalazła odbicie na tej stronie.

— Wiem. Chyba powoli stajemy się jednym.

Przestaliśmy rozmawiać i pocałowaliśmy się. Wiedzie-  
liśmy, że czeka nas wspaniały deser.

## Rozdział XIII



**N**A OTWARTYM morzu wiatr nauczył nas wielu rzeczy. Jak mewa z rozpostartymi skrzydłami, „Dalekie Wiatry” podróżowały po idyllicznych wyspach Fidzi, niektórych tak malutkich, że mieściła się na nich tylko jedna palma kokosowa. Czasem pływaliśmy z wiatrem, czasem pod wiatr. To wtedy zdałem sobie sprawę, że kierunek naszemu życiu — i naszym marzeniom — nadaje nie wiatr, lecz sposób ustawienia żagli.

Nauczyliśmy się w praktyce tego, co w teorii już dawno wiedzieliśmy: kiedy łódź płynie, na wiatr rzeczywisty (czyli po prostu ten, który wieje) nakłada się wiatr jazdy, wynikający z ruchu łodzi, i razem dają w wyniku wiatr pozorny. Kto zrozumie wiatr pozorny i nauczy się wyczuwać moment, kiedy trzeba zmienić hals, czyli przełożyć żagle na drugą burtę, ten stanie się dobrym żeglarzem.

Nauczyliśmy się rozpoznawać w nocy Krzyż Południa. Dla celów nawigacyjnych przyjmuje się, że ta piękna konstelacja, położona na południu, nie zmienia swej pozycji na niebie.



To nie całkiem odpowiada rzeczywistości, ale jest dostatecznie zgodne z prawdą, aby można oceniać położenie innych ciał niebieskich w stosunku do Krzyża Południa, stałego punktu nawigacyjnego na półkuli południowej.

Orientowaliśmy się na azymut, czyli kąt między płaszczyzną południka obserwatora a płaszczyzną przechodzącą przez dane ciało niebieskie. Kąt azymutu i koło azymutu znalazły wstęp do naszej codziennej rutyny, ponieważ trzeba było je uwzględniać przy każdym wyznaczaniu kursu. Informacje zawarte w mapach nawigacyjnych łączyliśmy z wiedzą zdobytą podczas tej duchowej podróży.

Dużo się nauczyliśmy. Chociaż przy utrzymywaniu kursu musieliśmy ufać w swoje umiejętności żeglarskie, zaczęliśmy pływać także na wyczucie, a nie tylko zgodnie z regułami. Nauczyliśmy się kierować za dnia słońcem, a w nocy księżycem. Czujnie obserwowaliśmy mewy, które nadażały za zmianami kierunku wiatru, kiedy zbliżaliśmy się do lądu, obserwowaliśmy wieloryby i delfiny, które zmierzały przez bezkresny ocean. Zwierzęta te stały się naszymi przewodnikami, naszymi mapami morskimi. Wszystko, co nas otaczało, nagle stało się częścią nas samych, a miłość, którą się nawzajem darzyliśmy, włączyła się w ten wspólny nurt natury. To było niesamowite uświadomić sobie, że wszystko, co przeżywaliśmy, zawsze istniało i czekało, żeby to odkryć, podziwiać i kochać.

Podczas naszej wyprawy zdarzały się ulewy, ale zawsze blisko jakiejś wyspy. Kiedy deszcz po raz pierwszy zaskoczył nas na

pełnym morzu, był to dla nas dzień samopoznania. Nie było sztormu ani wzburzonego morza, tylko odgłos milionów kropeł, które uderzały o pokład „Dalekich Wiatrów”. W mieście pobieglibyśmy się schować, żeby nas nie zmoczyło, a tutaj odwrotnie: kiedy zaczęło padać, wyszliśmy na pokład, żeby poczuć na sobie deszcz, żeby zamoczyć się w czystej wodzie i symbolicznie obmyć.

Nagle uświadomiłem sobie, że Gail przeżywa coś niezwykłego. Jej oczy były mokre od łez, nie od deszczu. Zdawało się, że Gail świeci wewnętrznym blaskiem.

— Co się stało? — zapytałem.

— Czuję obecność Boga. Jest w deszczu i w morzu. Czuję Go. Widzę Go.

— Jak wygląda?

Spojrzała w dal.

— Wygląda jak delfin, rozumiesz? I jak wieloryb. Mówi jak wiatr i jak grzmot. Szepcze nam do ucha marzenia, ale my nie zawsze słuchamy. Jest we wschodzie i zachodzie słońca. Jest w każdej gwiazdzie, na którą patrzymy nocą. I pośród tej magicznej samotności, którą osiągnęliśmy, kochanie, przypomina mi o wszystkim, co w życiu dobre, o wszystkim, co czyste i piękne.

Urwała, a jej łzy zlały się z krystalicznym deszczem w jedną prawdę.

— Pamiętasz, czego dowiedzieliśmy się o Bogu w szkole? O Bogu ognia i kary? Nie wierzę już w tego Boga. Czasy się zmieniają, Michael, i w tej chwili, w prawdzie tego, co widzą

moje oczy, co czuje moje serce i co pojmuje moja dusza, widzę, czym naprawdę jest Bóg. I wiesz co? Bóg nie ma nic wspólnego z religiami. Bóg to piękno i prawda. Bo piękno jest prawdą, a prawda jest pięknem.

Gail mocno chwyciła mnie za ręce.

— Wiesz, co sobie uświadomiłam, kochanie? Piekło nie istnieje, w każdym razie nie jako konkretne miejsce i czas. Piekło jest wtedy, kiedy nie można się rozkoszować tymi wszystkimi pięknymi rzeczami, które są dla nas dostępne, które zaczynamy odkrywać. Piekło jest wtedy, kiedy nie można podziwiać rzeczy, które dał nam Bóg, abyśmy cieszyli się nimi po wieczne czasy.

Zacząłem się trochę bać, że Gail mówi w ten sposób. Wciąż było we mnie coś, co nie chciało jej wierzyć, co nie chciało jej słuchać. Od dzieciństwa uczono mnie czegoś zupełnie innego. Nagle ogarnęło mnie poczucie, że grzeszę, słuchając Gail.

Książka otworzyła się, chociaż dalej padało.

*Widzisz rzeczy*

*i pytasz:*

*Dlaczego?*

*Ale ja marzę o rzeczach,  
których nikt nigdy nie widział,*

*i pytam:*

*Dlaczego nie?*

Gail

— Co się z tobą dzieje, Gail? — spytałem wystraszony.

— Coś wspaniałego. Uwierz mi, kochanie, po raz pierwszy w życiu naprawdę widziałam, jak pada deszcz. Po raz pierwszy w życiu słyszałam wewnętrzny głos, który mi powiedział, kim naprawdę jestem. — Podeszła do mnie i pocałowała mnie delikatnie. — Kocham cię, Michael, tak bardzo, jak kocham życie. — Spojrzała na mnie tymi pięknymi zielonymi oczami, a potem utkwiała wzrok w wodach oceanu. — Nareszcie rozpostarłam skrzydła, kochanie. Nareszcie nauczyłam się latać. I nic mnie nie zmusi, żebym je z powrotem złożyła. Nic. — Patrzyła w stronę horyzontu. — Niektórzy ludzie żyją zgodnie ze swoimi marzeniami, Michael, a niektórzy na zawsze zamykają oczy na prawdę. Chyba tylko Bóg wie dlaczego. Ja wiem na pewno, że już nigdy nie zamknę oczu. Nigdy.

## *Rozdział XIV*



**D**ZIESIĘĆ dni po opuszczeniu ostatniej z wysp Fidzi dotarliśmy do urokliwego łańcucha wysp Vanuatu, co w miejscowym języku znaczy „wieczna ziemia”. Wyspy te rozciągają się południkowo na sto mil od Wysp Torresa po wschodnią Nową Kaledonię, czyli nasz następny przystanek. Pokrywał je bujny zielony kobierzec. Błękitne niebo kontrastowało z tą zielenią, ale zlewało się z oceanem. Plamki bieli z początku wzięliśmy za pianę, ale po uważniejszych oględzinach okazało się, że to rafy koralowe, wśród których pływały różnobarwne ryby. Płytkie przybrzeżne wody, przeniknięte światłem słonecznym, przybierały hipnotyzujący szmaragdowy kolor. Lekki wiatr pozwalał lepiej znosić gorący i wilgotny klimat, który panuje w tej części południowego Pacyfiku.

Od prawie dwóch tygodni nie widzieliśmy żadnych oznak cywilizacji. Z mieszanymi uczuciami przybyliśmy w miejsce, w którym można było zobaczyć wszystko, co ma do zaoferowania nowoczesność, ale z drugiej strony musieliśmy zatanko-

wać paliwo oraz uzupełnić żywność i inne zapasy niezbędne do kontynuowania podróży.

Mama udzieliła mi przed laty rady, której nigdy nie zapominałem: „Pamiętaj, Michael, że marzenia muszą sięgać gwiazd, ale nogami trzeba stać twardo na ziemi”.

„Z nowoczesnym życiem coś jest nie w porządku”, pomyślałem. „Sztuka polega na tym, żeby znaleźć równowagę między tym, czego może nas nauczyć natura, i tymi dobrymi rzeczami, które ma do zaoferowania cywilizacja, ale nie dać się wciągnąć w świat, w którym liczą się tylko dobra materialne”.

Poszedłem do największego sklepu w mieście. Mieli tam duży wybór tropikalnych owoców i miejscowych warzyw. Na stacji benzynowej jakiś człowiek zaglądał pod maskę bardzo starego samochodu, a inny mężczyzna, przypuszczalnie właściciel, stał obok. Wszędzie biegały dzieciaki w samych szortach, z tym niewinnym uśmiechem, jaki mają tylko dzieci. Młodzi ludzie rozładowywali żywność z ciężarówki zaparkowanej przed sklepem wielobranżowym, zapewne pochodzącą z ich własnych gospodarstw. Wyjąłem listę i zacząłem kupować wszystko, czego potrzebowaliśmy na następny etap podróży, do Nowej Kaledonii.

Kupowanie świeżo zebranych marchewek, cebul, słodkich ziemniaków i ketmii sprawiało mi wielką przyjemność. Targowanie się należało na tych wyspach do dobrego tonu, nikt nie miał o to pretensji. Był to element rdzennych obyczajów.

Zapłaciłem za żywność i miałem już wyjść ze sklepu, kie-

dy moje spojrzenie padło na publiczny telefon, po raz pierwszy od wielu tygodni. Już prawie zapomniałem, że istnieje coś takiego jak telefony.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. „Zadzwońię do pana Blake'a i powiem mu, jaki jestem szczęśliwy, że zdecydowałem się wyruszyć w tę podróż, i podziękuję mu za książkę, którą dał nam w prezencie i dzięki której ta wyprawa jest taką wspaniałą przygodą”.

Kupiłem kartę telefoniczną i przeczytałem na aparacie instrukcję, jak wykonać rozmowę zamiejscową. Obliczyłem różnicę czasu między Auckland a kosmopolityczną stolicą Vanuatu, Port Vila. Tak, antykwariat pana Blake'a z pewnością był jeszcze otwarty.

Po kilku dzwonekch odebrała kobieta, której głosu nie rozpoznałem.

- W czym mogę pomóc?
- Dzień dobry. Czy mogę rozmawiać z Thomasem Blakiem?
- Proszę?
- Czy mogę rozmawiać z właścicielem antykwariatu?
- A kto mówi?
- Michael Thompson, znajomy pana Blake'a.

W słuchawce zapadła długa cisza.

- Czy mógłby pan chwileczkę zaczekać?

Usłyszałem, że kobieta rozmawia z koleżanką, której głosu też nie rozpoznałem. Druga kobieta wzięła od pierwszej słuchawkę.

— Dzień dobry, panie Thompson, chciał pan rozmawiać z panem Blakiem?

— Tak, proszę pani. — Zacząłem się irytować. W końcu to była rozmowa międzynarodowa, traciłem czas i pieniądze.

— Czy mogłaby pani poprosić go do telefonu?

Po chwili milczenia odparła:

— Przykro mi, proszę pana, ale tu już nie ma antykwariatu, tylko kawiarnia.

Wiadomość ta zaskoczyła mnie.

— Od kiedy? — spytałem.

— Od dwóch miesięcy, odkąd właściciel antykwariatu zachorował.

— Thomas?

— Byliście przyjaciółmi?

— Przyjaciółmi może nie, ale dobrymi znajomymi. Kupowałem u niego książki.

Długa cisza.

— Nie wiem, czy to jest właściwy moment, żeby panu powiedzieć.

— Co powiedzieć?

— Właściciel antykwariatu zmarł miesiąc temu. Wiemy to od pani, która była u niego zatrudniona i zgłosiła się do nas o pracę. Biedaczka bardzo jej potrzebuje. Jest zdruzgotana jego śmiercią.

Milczałem. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Byłem w szoku.



— Jest pan tam jeszcze?

Nie mogłem odpowiedzieć. Ostrożnie odwiesiłem słuchawkę. W głowie miałem tylko jego ostatnie słowa, którymi mnie pożegnał, kiedy po raz ostatni wychodziłem z jego wspianiałego antykwariatu.

„Życzę cudownego życia, Michael...”

Zamknąłem oczy, wciąż nie mogąc w to uwierzyć. „Wiedział, że już się więcej nie zobaczymy”, pomyślałem.

Po porannym niebie zaczęły sunąć nadbrzeżne chmury, posrebrzane słońcem. Kiedy lunął deszcz, wstałem, wziąłem portfel i zakupy i zacząłem powoli iść w stronę wody. Potrzebowałem się czegoś napić i nie chciałem być sam.

Wiadomość o śmierci pana Blake'a przekazałem Gail najdelikatniej, jak umiałem.

Z początku była bardzo smutna i zaczęła płakać, ale potem zaczęła się uspokajać.

— Myślisz, że tak musiało być? — zapytała.

— Nie rozumiem.

— Wyobrażasz sobie, co by było, gdybyśmy wrócili z podróży i spotkali się z panem Blakiem? Jak wytłumaczyłby nam sprawę z książką?

To był jakiś argument. Jak Thomas Blake wyjaśniłby nam magiczne moce książki, którą dostaliśmy od niego w prezencie?

— Chyba masz rację, kochanie — powiedziałem. — By-

loby genialnie, gdybyśmy mogli z nim porozmawiać po powrocie, teraz, kiedy już wiemy, że był wyjątkowym człowiekiem, jakimś aniołem. Ale sądzę, że to nie był odpowiedni moment. Może pan Blake wiedział o rzeczach, których nam nie wolno jeszcze wiedzieć. Może jego misja była zakończona i musiał odejść. A poza tym jeśli był aniołem, to jaka jest różnica, czy zniknął, czy też opuścił swoje fizyczne ciało?

Gail spojrzała na mnie zamyślona.

— Może masz rację. Może tak musiało być. Ale żal mi, bo tak wielu rzeczy w życiu jeszcze nie rozumiem.

Łagodny wiatr znowu przemknął nad pokładem „Dalekich Wiatrów” i książka kolejny raz się otworzyła:

*Kiedy ktoś  
naprawdę umiera?  
Kiedy przestaniemy o nim myśleć.  
A kiedy ktoś  
naprawdę odchodzi?  
Kiedy przestaniemy o nim pamiętać.*

Michael

— Myślisz, że pan Blake zamienił się w anioła? — spytała Gail.

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Kartka w książce przewróciła się — nigdy wcześniej nie stało się to tak szybko — i ze łzami w oczach patrzyliśmy, co tam jest napisane.

*Ludzie umierają nie wtedy,  
kiedy kładzie się ich  
do grobu,  
lecz wtedy,  
kiedy rezygnują  
z marzeń.*

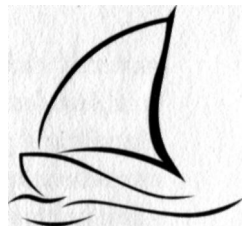
Thomas Blake

— On rzeczywiście jest aniołem, co, kochanie? — spytała Gail.

Wytarłem łzy z oczu, przytuliłem ją mocno i uśmiechnąłem się.

— Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

## Rozdział XV



**V**ANUATU było najdalej wysuniętym na północ punktem na naszej trasie.

Od wypłynięcia z Auckland pokonaliśmy ponad trzy i pół tysiąca mil i widzieliśmy nieskończoną różnorodność piękna i czaru, malownicze wyspy, rozświetlone słońcem rafy koralowe, jaskrawo ubarwione rybki pływające w płytkiej wodzie czy stado wielorybów, które śpiewały i wołały do siebie. Nie mogliśmy również narzekać na monotonię pogodową, mieliśmy za sobą dni słoneczne i deszczowe, wietrzne i bezwietrzne. Przede wszystkim jednak oboje poznaliśmy swoją prawdziwą osobowość i odnaleźliśmy drogę do siebie nawzajem. Swojego szczęścia nie mierzyliśmy już tym, jak wiele posiadamy, bo mieliśmy siebie, co było najważniejsze. Z pomocą wielu ludzi — począwszy od Thomasa Blake'a, który zainspirował nas do wyruszenia w tę duchową podróż, przez pana Roberta, bez którego nie trafilibyśmy na „Dalekie Wiatry”, po wszystkich tych wspaniałych ludzi z różnych kultur, który pokazali

nam tak wiele rozmaitych światów — odkryliśmy prawdziwe szczęście. I tak samo, jak pewnego dnia nagle postanowiliśmy rozpocząć tę magiczną przygodę, nie wiedząc, co przyniesie przyszłość, tak teraz poczuliśmy, że pora wracać do Auckland, gdzie było nasze miejsce.

Kiedy wzięliśmy kurs na południe, zobaczyliśmy majestatycznego albatrosa. Ten olbrzym chyba też zdał sobie sprawę, że zawędrował dalej na północ, niż zamierzał, i teraz musiał wracać na morza południowe, bo tam znajdowała się jego ojczyzna.

Ogarnął nas melancholijny nastrój, ogrom oceanu wlał w nasze serca coś na kształt smutku. Daleko na horyzoncie szalała burza i błyskawice rozświetlały popołudnie tak jasnym złocistym światłem, że żałowałem, iż nie mogę zamknąć go w butelce i na zawsze zatrzymać.

— Nie bądź smutna, Gail — powiedziałem, próbując ją pocieszyć. — To nie jest koniec wyprawy. Skręcamy na południe, ale mamy przed sobą jeszcze mnóstwo przygód.

— Nie jestem smutna, Michael, tylko trochę melancholijna i smakuję tę chwilę. Odkryłam, że nie muszę się śmiać, kiedy jestem szczęśliwa, ani płakać, kiedy jestem smutna. Akceptuję to, co teraz czuję, i chociaż nie rozpiera mnie szczęście, nie jest mi źle.

Uśmiechnęła się do mnie i wzięła mnie za rękę. Jej zielone oczy świeciły jak szmaragdy.

— Pamiętasz, co pan Blake napisał na pierwszej stronie książki, którą nam podarował? Powiedział nam, żebyśmy wy-

pełniali nasze dni szczęściem, a noce marzeniami. I że kiedy te marzenia staną się rzeczywistością, a potem słodkimi wspomnieniami, nie wolno nam o nich zapomnieć. Właśnie to teraz przeżywam. Wspominam te wszystkie piękne chwile, których razem doświadczyliśmy, te chwile, które nigdy nie wróca, które na zawsze odeszły w przeszłość, ale nigdy nie zostaną zapomniane. Bo wiesz co, Michael? Tak naprawdę mamy dwa równoległe życia: to przeżywane i to pamiętane. Oba są równie realne.

Nie bardzo nadażałem za jej wywodami.

— Co dokładnie chcesz powiedzieć, Gail? Że te uczucia melancholii i smutku są częścią tego, co w tym momencie powinniśmy przeżywać, i że powinniśmy je traktować jako element zmian, które w nas zachodzą?

Uśmiechnęła się.

— Pamiętasz te wszystkie historie o życiu po życiu, o których słyszeliśmy albo czytaliśmy? Niezależnie od tego, czy są prawdziwe, ludzie, którzy otarli się o śmierć, mają w oczach szczególne światło. Większość z nich przestaje się bać śmierci, a mimo to zupełnie zmieniają im się życiowe priorytety. Rzeczy, które dawniej były ważne, na przykład sytuacja finansowa, nagle tracą znaczenie, ich miejsce zajmuje rodzina, przyjaciele, pomaganie innym, życie dniem dzisiejszym. Tak jakby uświadomili sobie, że to, co uważali za dane na zawsze, wcale takie nie jest. Właśnie coś takiego dzieje się z nami podczas tej podróży. Dowiadujemy się, że w sukcesie finansowym nie ma nic złego, byle nie przyznawać mu przesadnego znaczenia

i byle nie okradał nas z cennego czasu, który powinniśmy wykorzystać na stanie się prawdziwymi ludźmi.

— To nie będzie łatwe, Gail — odparłem. — Myślisz, że nasi przyjaciele nam w tym pomogą?

— Jasne. Skupmy się i sprawdźmy, co mają do powiedzenia.

Bez słowa wzięliśmy się za ręce i patrzyliśmy, jak żagle „Dalekich Wiatrów” ciągną nas ku naszemu przeznaczeniu.

Przyszedł łagodny wiatr, otworzył książkę i zniknął tak szybko, jak się zjawił.

Nadal trzymając się za ręce, zajrzeliśmy do książki. Na otwartej stronie były dwie sentencje:

*Ze wszystkich dróg  
które możesz w życiu wybrać  
jest jedna  
ważniejsza od innych.  
To jest droga, która uczyni z ciebie  
prawdziwego człowieka.*

Thomas Blake

*Człowiek jest  
tym bogatszy  
im więcej rzeczy  
umie bez żalu  
zostawić.*

Thoreau

Siedzieliśmy w milczeniu. Gail miała rację i nareszcie zdałem sobie sprawę, że to doświadczenie robi z nas prawdziwych ludzi, którzy rozkoszują się każdą chwilą, każdego dnia uczą się czegoś nowego, coraz lepiej poznają się nawzajem i oglądają świat otwartymi oczami, w świetle prawdy.

Wiedzieliśmy również, że za tymi melancholijnymi uczuciami kryje się świadomość, iż prędzej czy później będziemy musieli wrócić do świata, z którego przybyliśmy. Jak się tam odnajdziemy? Czy wszystko będziemy widzieli inaczej? Czy inni zaakceptują nas takich, jakimi się staliśmy? I czy to jest rzeczywiście takie ważne, żeby inni nas akceptowali?

Czy kiedykolwiek będziemy tacy jak dawniej?



## Rozdział XVI



**W** BEZCHMURNĄ noc Krzyż Południa wygląda jak garść klejnotów. Kiedy ktoś znajdzie Alfa i Beta Centauri, łatwo jest zidentyfikować Krzyż Południa, ponieważ wskazują prosto na niego. Aby ustalić swoją pozycję na otwartym morzu, trzeba iść za dłuższą osią Krzyża ku najdalszej gwiazdzie tej konstelacji — tam jest astronomiczne południe. O pięć długości pionowej osi Krzyża w tym samym kierunku znajduje się biegun południowy.

Na niebie nie było ani jednej chmurki, mogliśmy więc podziwiać firmament w całym jego blasku i wspaniałości. Gwiazdy migotały i tańczyły po nocnym niebie, a nad naszymi głowami wisiał księżyc w pełni, wysyłając mocne promienie światła ku zwierciadłu morza.

Trzymaliśmy kurs na biegun południowy z lekkim odchyleniem na zachód, żeby najkrótszą trasą dopłynąć do naszego następnego przystanku, francuskich wysp Nowej Kaledonii, położonych czterysta mil dalej. Gdyby utrzy-

mały się północne wiatry, powinniśmy pokonywać średnio osiemdziesiąt mil dziennie, czyli dotarlibyśmy do Nowej Kaledonii w pięć dni.

Żeglowanie nocą samo w sobie było niezwykłym przeżyciem. Nie widząc, dokąd płyniemy, musieliśmy opierać się na znajomości gwiazd i na sprzęcie nawigacyjnym. A jednak niespostrzeżenie rozwinęliśmy w sobie rodzaj intuicji, która informowała nas z wyprzedzeniem, kiedy coś było nie w porządku. Tak jak niewidomy odbiera zapachy i dźwięki, które pozostają poza zasięgiem zmysłów normalnej osoby, my zaczęliśmy widzieć nie oczami, tylko instynktem.

Jedno zdarzenie szczególnie wyraźnie zilustrowało tę nową umiejętność. Siedzieliśmy razem w kokpicie, graliśmy w karty i słuchaliśmy niegłośnej muzyki. Przed godziną ustawiliśmy żagle i ponieważ wiatr zachowywał się bez zarzutu, byliśmy pewni, że nie może się stać nic złego, ponieważ od Nowej Kaledonii dzieliło nas jeszcze kilkaset kilometrów.

Nagle Gail odłożyła karty.

- Coś się stało, Gail?
  - Nie słyszałeś?
  - Czego? — spytałem zaskoczony.
  - Tego dźwięku.
  - Jakiego dźwięku?
  - Ścis� muzykę, Michael.
- Ściszyłem.
- Dalej słyszysz?
  - Nie — odparła. — Chyba minęło.

— Nieważne. Może to było złudzenie. Gramy dalej. To pewnie była jedna z tych twoich sztuczek, bo zaraz wygram.

Potem odebrało mi mowę. Poczułem jakiś nieokreślony dźwięk i wiedziałem, że to nie jest złudzenie. Poczułem, nie usłyszałem, wychodził bowiem ze mnie samego, jakby chciał mnie przed czymś ostrzec.

Gail poznała po moich oczach, że coś się dzieje.

— Ty też to czujesz, prawda? — spytała.

Wstałem.

— Chodźmy na pokład. Coś jest nie tak.

Wyszliśmy na pokład i rozejrzeliśmy się dokoła. Noc była równie spokojna jak przed godziną. A jednak coś nie grało. Włączyłem główny reflektor „Dalekich Wiatrów” i skierowałem do przodu.

Nie wierzyliśmy własnym oczom. Sto metrów od nas naliczyłem co najmniej dziesięć humbaków, które płynęły prosto na nas. Słyszałem opowieści o tym, jak te morskie olbrzymy potrafią bez wysiłku złamać kil jachtu, i to zupełnie niechcący.

— Zatrąb, Gail! — krzyknąłem przerażony. — Musimy zwrócić na siebie ich uwagę!

Gail zaczęła trąbić, a ja włączałem wszelkie możliwe światła. Stado było teraz niebezpiecznie blisko nas i w każdej chwili któryś wieloryb mógł się z nami zderzyć.

— Natychmiast przypnij się liną, Gail! — zawołałem. Zrobiłem to samo i szykowałem się na najgorsze.

Następne kilka minut trwało wieczność, kiedy wieloryby przepływały obok i pod „Dalekimi Wiatrami”. Wyglądało na to, że zareagowaliśmy w ostatniej chwili i stado zdażyło nas zauważyć. Przewodnik zboczył nieco z kursu, który doprowadziłyby do zderzenia, i inne osobniki poszły w jego ślady. Z wielką ulgą zobaczyliśmy, że stado ominęło „Dalekie Wiatry”.

Odpięliśmy liny zabezpieczające i po raz ostatni sprawdziliśmy, czy nie ma już wokół żadnych wielorybów. Na wszelki wypadek zostawiliśmy część świateł włączonych. Potem usiedliśmy na pokładzie. Wypiłem trochę brandy i poczułem się znacznie lepiej.

— Co się stało, Gail? Czy ciebie też ogarnęło to złe przeżucie?

— Tak, Michael. W pierwszej chwili myślałam, że to jest jakiś dźwięk, ale potem uświadomiłam sobie, że to wychodzi ze mnie, jakby próbowało mnie przed czymś ostrzec.

— No i ostrzegło! Cokolwiek to było, uratowało nam życie. Ale skąd się wzięło i skąd wiedzieliśmy, jak na to zareagować?

Łagodny wiatr tym razem powiał z północy, otwierając naszą bezcenną książkę.

*Chmura nie wie, dlaczego  
porusza się w tym, a nie innym kierunku  
i z tą, a nie inną prędkością.  
Odczuwa wewnętrzną dążność i wie,*

*dokąd ma się udać.  
Ale niebo zna powody i schematy  
zawiadujące wszystkimi chmurami  
i ty też je poznasz,  
kiedy podniesiesz się dostatecznie wysoko,  
aby spojrzeć poza horyzont.*

Richard Bach

Staliśmy w milczeniu. Nie było nic więcej do dodania.  
Po chwili odezwała się Gail.

— Michael?

— Tak, kochanie?

— Mówiłam ci już, że kiedy byłam dzieckiem, strasznie się bałam, bo słyszałam głosy i czułam rzeczy, które inni ludzie uznaliby za dziwne?

— Mhm, znam to uczucie — odparłem. — Sądzę, że kiedy człowiek jest młodszy, ma czyste serce i potrafi odbierać impulsy, które wychodzą od wewnątrz, ale z czasem tracimy tę umiejętność i nazywamy te zjawiska paranormalnymi.

Gail uśmiechnęła się.

— Moja nauczycielka w podstawówce mówiła o „złych podszeptach”, o „chwastach”, które musimy powyrywać, jeśli chcemy zbawić duszę.

— Czy to nie dziwne, że niewiedza lub strach przed nieznanym często prowadzą do tego, że zupełnie błędnie odbieramy rzeczywistość?

Nasza bezcenna książka znowu się otworzyła.

*Zawsze żałuję  
że nie jestem taki mądry  
jak w dniu, w którym się urodziłem.*

Thoreau

Gail uśmiechnęła się.

— Wiesz, co bym powiedziała tej nauczycielce, gdybym ją teraz spotkała?

— Tak?

— Powiedziałabym jej, że wyruszyłam w najpiękniejszą podróż mojego życia i że ta podróż zmieniła mnie, pokazując mi prawdę dostępną dla tych wszystkich, którzy jej poszukują, tych wszystkich, którzy nauczą się słuchać głosu swojego wnętrza, i że nareszcie „zły podszept” zawędrował do mojego serca. Że ten chwast, jak to nazwała, jest moim ulubionym kwiatem na łące mego serca.

## *Rozdział XVII*



**M**INAŁ tydzień. Pewnego ranka, kiedy spojrzeliśmy ku horyzontowi, wysoko na niebie zobaczyliśmy majestatyczne szczyty górskie, kontrastujące z ukwieconymi łąkami i lasem w dole. Wzięliśmy kurs na te cuda natury Nowej Kaledonii.

Wyspy te stanowią terytorium zamorskie Francji, sądziłszy zatem, że w obyczajach mieszkańców będą wyraźnie widocznie wpływy francuskie. Nowa Kaledonia należy do tych obszarów, na których rdzenna i napływowa kultura stopiły się ze sobą bez większych wstrząsów i ludzie od dawna żyją w pokoju.

Z pomocą niezbyt silnego wiatru wschodniego w ciągu godziny dotarliśmy do zewnętrznej rafy największej wyspy, Grand Terre. Kolejne pół godziny zabrało nam dopłynięcie do głównej przystani w Noumea, kwitnącym mieście portowym południowego Pacyfiku i stolicy Nowej Kaledonii. Ponieważ na wyspie nie ma żadnego przemysłu oprócz tu-

rystycznego, wszystko trzeba sprowadzać drogą powietrzną lub morską.

Gail i ja zamierzaliśmy spędzić parę tygodni w tym idyllicznym zakątku ziemi, poznając miejscową kulturę i naturalne uroki wyspy. Najpierw jednak musieliśmy uzupełnić zapasy żywności i zatankować paliwo, które prawie nam się skończyło.

Kiedy Gail portowym węzłem spłukiwała sól z pokładu „Dalekich Wiatrów”, ja poszedłem do sklepu spożywczego, który znajdował się niedaleko mola. Ludzie wszystkich ras robili tam codzienne zakupy. Asortyment świeżych owoców był zdumiewający.

Po zakupach żywnościowych poszedłem do sklepu z artykułami przemysłowymi, musieliśmy bowiem wymienić niektóre liny nadwerżone przez silne wiatry, które poniewierały „Dalekimi Wiatrami” dwa dni wcześniej. Uszkodzony był również ręczny kompas, więc musiałem kupić nowy.

— Właśnie przypłynął pan na wyspę? — spytał jakiś mężczyzna.

— Tak, zgadza się.

— Jest pan właścicielem „Dalekich Wiatrów”?

— Tak.

— Witamy w Nowej Kaledonii. Na imię mam Alec i mieszkam na tych wyspach od dawna. Proszę mi uwierzyć, nie będzie pan żałował, że się pan tutaj zatrzymał.

Przyjrzałem się mu. Od tropikalnego słońca miał smagłą cerę, ale z pewnością był pochodzenia europejskiego. Wysoki,



przypuszczalnie Francuz, na co wskazywał akcent, z jakim mówił po angielsku. Chociaż dopiero co go poznałem, wydał mi się dobrym i uczciwym człowiekiem.

— Czyli mieszka pan w Noumea? — spytałem.

Rozmówca uśmiechnął się do mnie.

— Ależ skąd. Mieszkać w Noumea to jak mieszkać w mieście, a gdybym tego chciał, to zostałbym w Paryżu. Nie, mieszkam w górach, które biegną wzdłuż wschodniego wybrzeża wyspy, około trzydziestu mil stąd, z moją żoną Sophie.

— Czyli wyjechał pan z Paryża?

Znowu się uśmiechnął.

— Przypuszczalnie zna pan powód równie dobrze jak ja.

— Żeby w całej pełni zakosztować życia? Żeby wyrwać się z diabelskiego kręgu rutyny i dowiedzieć się, co jest naprawdę w życiu ważne? Żeby się dowiedzieć, kim pan naprawdę jest?

Wybuchnął śmiechem.

— Nie umiałbym tego lepiej wyrazić — odparł, by podjąć po chwili milczenia: — Miałby pan ochotę zjeść dziś wieczorem kolację ze mną i moją żoną? Mam nadzieję, że wybaczy pan mojej żonie jej łamaną angielszczyznę. Może pan u nas przenocować i rano odwieziemy pana na jacht. Bylibyśmy zachwyceni, gdybyśmy mogli pana ugościć.

— Muszę spytać żonę, czy się na to zgodzi.

— Ją oczywiście też zapraszamy — powiedział Alec. — Jestem w mieście całe przedpołudnie. Może pan zostawić wia-

domość u Michelle, właścicielki tego sklepu. To moja bardzo dobra znajoma.

— Dziękuję, Alec, tak zrobię.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i pożegnaliśmy się. Zapłaciłem za liny i kompas i ruszyłem w stronę drzwi. Tuż przed progiem wyobraziłem sobie, że rozmawiam z Gail o zaproszeniu na kolację. „Przecież wiesz, że bardzo chętnie pójde”, powiedziałyby.

Zatrzymałem się.

Czy nie wyruszyliśmy w podróż między innymi po to, żeby lepiej się poznać, móc zaufać swojej intuicji i wiedzy na temat drugiej osoby? Ale jak to ma działać, skoro nadal myślimy po staremu: zawsze pytamy o zgodę, żeby się upewnić, postępujemy mechanicznie zamiast instynktownie?

Odwrociłem się i podszedłem do Aleca.

— Jestem pewien, że moja żona z wielką chęcią zje kolację z panem i Sophie. Z radością przyjmujemy zaproszenie.

— *Tres bien!* — powiedział Alec swoją nienaganną paryską francuszczyzną. — Zabiorę was z przystani o piątej po południu.

— Dziękuję. Cieszymy się, że będziemy mogli spędzić wieczór z panem i pańską żoną.

Tak jak się spodziewałem, Gail była zachwycona perspektywą zjedzenia kolacji z ludźmi, o których wiedzieliśmy, że znajdziemy z nimi wspólne tematy do rozmowy. Oboje uwielbialiśmy francuską kuchnię, a poza tym cudownie było dać się komuś

ugościć po tym, jak przez wiele tygodni sami sobie gotowaliśmy. Pomyśleliśmy również, że „Dalekim Wiatrom” dobrze zrobi, jak trochę odpoczną, zwiną skrzydła i chwilę poleniuchują.

Zgodnie z obietnicą Alec zjawił się na przystani o piątej. Przedstawiłem go Gail, a potem wsiedliśmy do jego terenówki i ruszyliśmy w stronę wschodniej części wyspy.

Kiedy znaleźliśmy się za miastem, wjechaliśmy na główną drogę, która biegła równoległe do wybrzeża. Mogliśmy z niej podziwiać zapierające dech w piersiach widoki: strome zielone góry przechodziły w nadmorskie klify opadające pionowo do morza. Potężne fale rozbijały się o te kamienne ściany. Z rzadka widać było w dole plażę, czasem z białym, czasem z czarnym piaskiem, co odzwierciedlało mieszane pochodzenie wyspy.

Po mniej więcej pięćdziesięciu kilometrach Alec skręcił w drogę gruntową, która prowadziła w głąb wyspy ku górom.

— Tutaj droga zaczyna biec pod górę — wyjaśnił. — Jeszcze tylko trzysta metrów i jesteśmy u mnie w domu!

Ani trochę nie przesadzał. Serpenty ny robiły się coraz bardziej strome, co potwierdzało, że na wyspie trzeba mieć samochód z napędem na cztery koła. Nie licząc nadbrzeżnej szosy, wszystkie drogi były gruntowe i trzeba je było stale wyrównywać albo odbudowywać, kiedy spłukał je deszcz.

— Jesteśmy już prawie na miejscu — powiedział Alec. Wreszcie ostro zakręcił i stanął. — *Voild!*

Droga się tutaj kończyła. Tak musi wyglądać raj. W środku lasu deszczowego, z okazałymi drzewami dokoła, było pa-

stwisko z trawą tak zieloną jak najczystszej wody szmaragd. Między strzelistymi pniami przeciskały się snopy światła, ukazując egzotyczne kwiaty, od nieskazitelnie niebieskich po jaskrawo czerwone. Pośród tego bajkowego morza kwiatów stał mały drewniany dom. W tej idyllicznej scenerii biegały i pasły się konie.

Drzwi domu otworzyły się i stanęła w nich szczupła blondynka, która nam pomachała.

— Czekałam na ciebie, Alec.

— *Bon soir*, Sophie — powiedział. — Musiałem naprawić pompę paliwa, więc zeszło mi trochę dłużej. Pozwól, że ci przedstawię naszych nowozelandzkich przyjaciół, którzy właśnie przyплыnęli na naszą wyspę. Pomyślałem, że to byłby dobry pomysł, gdybyśmy powitali ich francuską kolacją.

— Oczywiście! Kiedy przyjechaliście? — spytała swoją łamaną angielszczyzną.

— Dzisiaj rano — odparła Gail. — Wyruszyliśmy na długi wyprawę z Auckland i postanowiliśmy odwiedzić Nową Kaledonię. I w końcu przyплыnęliśmy „Dalekimi Wiatrami”.

Wyraz twarzy Sophie nagle uległ zmianie.

— Powiedziała pani „Dalekimi Wiatrami”?

— Tak — odrzekła Gail. — Tak się nazywa nasz jacht. Czy coś jest nie w porządku?

Alec i Sophie wymienili spojrzenia i uśmiechnęli się.

— Wręcz przeciwnie. A teraz wejdźcie, napijemy się wina na werandzie.

Przez następne parę godzin opowiadaliśmy sobie nasze historie życiowe, a Gail pomagała Sophie przygotować pyszne mahi-mahi, tutejszą rybę po francusku. Dusi się ją w słodkim białym winie, a potem posypuje miejscowymi ziołami i przyprawami. Jedzenie było boskie, typowo francuska *cuisine*. Do pikantnego filetu rybnego a la Meniere piliśmy delikatnego, schłodzonego białego burgunda. Na koniec Sophie przyniosła kawę z ziaren zbieranych na Nowej Kaledonii. Smakowała fantastycznie.

— Czemu osiedliście akurat w tej części świata? — spytała Gail gospodarzy, z którymi przeszliśmy wcześniej na ty.

— Rozejrzyj się wokół siebie — odparła Sophie. — Tutaj człowiek naprawdę czuje zapach kwiatów, a naturalnie rosnące owoce mają jeszcze jakiś smak. Widać piękno gór i morza, i miliony gwiazd w nocy. Na świecie jest wiele pięknych miejsc, ale potrzeba odpowiedniego nastawienia, żeby umieć się nimi cieszyć. U nas w kraju tego nie potrafiliśmy.

— Kiedy mieszkaliśmy we Francji — przejął pałeczkę Alec — nie mieliśmy czasu zwracać uwagi na takie rzeczy. Byliśmy ciągle zajęci pracą, zawsze w biegu, potrzebowaliśmy coraz więcej czasu, żeby zrobić to, co uważaliśmy za ważne. Któregoś dnia nagle zrozumieliśmy, że ułożyliśmy sobie życie w ramach możliwości, którymi dysponowaliśmy w naszym mieście. I zdaliśmy sobie sprawę, że musi być znacznie więcej możliwości wyboru takiego życia, jakie nam się podoba. — Alec zapalił cygaro i poczęstował też nas, ale uprzejmie odmówiliśmy. — W Paryżu nie mieliśmy zbyt wiele czasu na odkrywanie świata.

Podjęliśmy więc radykalną decyzję. Któregoś wieczoru uznaliśmy, że mamy tego wszystkiego po dziurki w nosie. Że musimy zaryzykować, bo mieliśmy poczucie, że życie przechodzi obok nas. Sprzedaliśmy wszystko, co mieliśmy, i kupiliśmy bilety lotnicze do Nowej Kaledonii. Jak tylko wyszliśmy z lotniska, poczuliśmy gorące, wilgotne powietrze i zobaczyliśmy zielone wyspy, wiedzieliśmy, że podjęliśmy właściwą decyzję.

— Kiedy to było?

— Dziesięć lat temu — odparł Alec. — Dzięki znajomemu odkryliśmy ten kawałek nieba. Sami zbudowaliśmy dom, kupiliśmy kilka koni i zaczęliśmy sami uprawiać ziemię. Jak możecie sobie wyobrazić, w takich warunkach można się utrzymać za bardzo niewielkie pieniądze. To, co we Francji byłoby problemem finansowym, tutaj nim nie jest.

Nagle z zewnątrz doszedł nas tupot końskich kopyt. Po paru chwilach do pokoju wszedł chłopiec, który wyglądał na osiem, może dziewięć lat.

Sophie powiedziała do niego coś po francusku. Podszedł do nas.

— *Bon soir, madame. Bon soir, monsieur* — powiedział, uśmiechnął się i pobiegł do kuchni.

Gail i ja wymieniliśmy spojrzenia.

— Wasz syn?

— Tak — odparł Alec. — Na imię ma Francois. Urodził się na wyspach.

— Ale czy to nie jest dla was problem? — dopytywała się Gail. — Znaczy, chodzi mi o szkołę, bezpieczeństwo...

Sophie uśmiechnęła się.

— Gail, w tym prostym świecie wiele rzeczy, które w naszym dawnym świecie byłyby problemem, tutaj nim nie są. Jest wiejska szkoła, do której można w dziesięć minut dojechać na koniu. Jeepem jeździmy tylko do miasta. Nauczyliśmy się jeździć konno. Tak jest znacznie prościej, a poza tym nie trujemy lasu deszczowego. Konie nie kosztują nas wiele, bo przez cały rok mają się czym paść. Wszystkiego, czego Francois nie dowiaduje się w szkole, o Francji i o tym, co uważamy za sensowne w świecie, który opuściliśmy, sami go uczymy. Ma mnóstwo kolegów, którzy mieszkają w okolicy i chodzą do tej samej szkoły. A jeśli chodzi o bezpieczeństwo, to co waszym zdaniem mogłoby się stać? Kto chciałby zrobić mu coś złego? W tych kulturach dzieci są wielką wartością, najcenniejszym skarbem, jaki można mieć, i dorośli dobrze się nimi opiekują.

Alec podszedł do okna i spojrzał na jasno świecący księżyc.

— Czy umiecie sobie wyobrazić lepszy start życiowy dla naszego syna? Jak będzie starszy, to zabierzemy go do Francji, do świata, z którego pochodzimy i który opuściliśmy. Sam zdecyduje, jak chce żyć i co chce robić. Ale będzie miał skarb, jakiego nikt z nas nie miał.

— A mianowicie?

— Możliwość wyboru, bo zobaczył świat w jego prawdziwym wymiarze i dlatego będzie mógł zaufać swojemu sercu i temu, co widział na własne oczy. To niezwykle. Nie ma idealnego świata, Michaelu i Gail, ale można pracować nad

tym, aby każdego dnia uczynić swoje życie trochę lepszym. Nie skarżymy się na naszą piękną Nową Kaledonię, chociaż czasem tęsknimy za francuskimi tradycjami. To jest chyba kwestia porównania obu światów i podjęcia decyzji.

Urwał na chwilę.

— Wielu ludzi na świecie powie wam, że wiedzą, czego chcą od życia. Nie zdają sobie jednak sprawy, że poruszają się w ograniczonym obszarze możliwości. To, co wybrali, niekoniecznie jest tym, czego naprawdę chcą, bo nigdy nie widzieli innych światów, innych opcji. Czy nie daje wam do myślenia, że większość synów lekarzy zostaje lekarzami? Że syn architekta będzie chciał zostać architektem? Być może o wyborze zawodu częściowo decydują geny, ale to nie znaczy, że decyzja została podjęta osobiście. Żeby zdecydować, trzeba dokonać wyboru. Żeby dokonać wyboru, trzeba mieć możliwości wyboru. A żeby móc dokonać swobodnego wyboru spośród wszystkich dostępnych opcji, trzeba podjąć ryzyko i słuchać swojego wewnętrznego głosu.

Gail i ja spojrzeliśmy na siebie. Nie było nic więcej do powiedzenia, bo ta cudowna para mieszkająca w tym magicznym miejscu wszystko już powiedziała. A przede wszystkim żyli zgodnie z tym, co mówili.

— *A votre sante!* — powiedział Alec.

— *Cheers!* — odparliśmy.

Wypiliśmy wino do dna, po czym Sophie spytała Aleca:

— Myślisz, że to jest właściwy moment, żeby ich zapytać?



— Nie wyobrażam sobie lepszego.  
— O co zapytać? — dociekała Gail.  
— Alec mi mówił, że wasz jacht nazywa się „Dalekie Wiatry”. Sami ochrzciliście swoją łódź czy już wcześniej tak się nazywała?

— Sami ją ochrzciliśmy. To znaczy nie całkiem. Znajomy podpowiedział nam nazwę.

— Trzymacie na łodzi książkę w drewnianej skrzynce? Nie wierzyliśmy własnym uszom.

— Skąd wiesz?

— Pamiętacie, jak wam mówiliśmy, że dziesięć lat temu znajomy pokazał nam tę polanę? Tubyłcy mówią, że ten człowiek przypłynął na wyspę łodzią, która nazywała się „Dalekie Wiatry”. Podobno pewnego dnia zniknął na dwa lata i nikt nie mógł go znaleźć, chociaż „Dalekie Wiatry” cały czas stały na przystani. Zdaje się, że poszedł w góry, aby pomyśleć w samotności. Kiedy wreszcie wrócił, wypiarze myśleli, że zwariował, bo cały czas otwierał książkę z samymi pustymi stronami, jakby ją czytał.

— Blake — wtrąciłem. — To był on.

— Tak — potwierdził Alec. — Thomas Blake pokazał nam ten kawałek rajy i zrobił coś jeszcze lepszego.

— Co?

Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo.

— Nauczył nas czytać tę książkę. Tam, gdzie inni widzieli puste strony, my nauczyliśmy się czytać sercem.

Zaniemówiliśmy. Wszystko działo się za szybko, było za

dużo zbiegów okoliczności. Zbiegów okoliczności? Ależ skąd. Teraz już wiedzieliśmy, że to, co nazywamy zbiegami okoliczności, to są rzeczy, które się dzieją, kiedy idziemy za głosem serca.

— Zaczynamy się uczyć czytać książkę — powiedziała Gail.

— Wiem — odparła Sophie. — Widzę to w waszych oczach. Widzę też, że zaczynacie sami w niej pisać. Uwiercie mi, kiedy wrócicie jutro na wasze ukochane „Dalekie Wiatry”, będziecie w stanie przeczytać więcej stron.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, myśląc o człowieku, który tak wiele dla nas wszystkich zrobił.

— Wznieśmy toast — powiedział Alec. — Jakież sugestie?

— Za naszego dobrego przyjaciela Thomasa Blake'a! — zaproponowałem.

— Za radość życia — dorzuciła Gail.

Sophie i Alec spojrzeli po sobie i powiedzieli głosem pełnym ciepła:

— Za „Dalekie Wiatry”, dzięki którym się poznaliśmy.

## *Rozdział XVIII*



**M**INĘŁO już ponad pół roku, odkąd opuściliśmy nasze piękne Auckland w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania o życie, nas samych i naszą miłość.

Czasem nam się wydawało, że będzie nam ciężko wrócić do kraju i do dawnego życia. Dowiedzieliśmy się, jak chcemy teraz żyć, i byliśmy pewni, że nie możemy po prostu wskoczyć w stare schematy. Chociaż na początku traktowaliśmy naszą wyprawę jak przygodę, teraz było dla nas jasne, że jest to coś więcej, że wyrobiliśmy sobie nowe podejście do życia. Podjęliśmy ryzyko i teraz, wolni od wszystkich rzeczy, którymi się kiedyś otaczaliśmy, zaczęliśmy rozumieć, co jest w życiu ważne: to, co człowiek czuje i czym może się podzielić, a nie to, co posiada. Przede wszystkim jednak dzięki tej wyprawie odzyskałem Gail.

„Dalekie Wiatry” zaczynały zmieniać kolor, ponieważ wiatry mórz południowych i wysychająca w mocnym słońcu solna skorupa działały jak katalizator i niektóre części łodzi

skorodowały. Przyszedł czas, żeby porządnie odczyścić łódź i pomalować ją, jak na to zasługiwała. Postanowiliśmy, że na następnym przystanku zlecimy komuś naprawę żagli oraz sprawdzenie kadłuba i kila.

Z powodów, które sami nie do końca rozumieliśmy, zaczęliśmy rozmawiać o powiększeniu rodziny. Na wcześniejszym etapie podróży w ogóle o tym nie myśleliśmy. Sądziliśmy, że będziemy lepszymi rodzicami dla naszych dzieci, żyjąc tak, jak zawsze chcieliśmy żyć, ze wspomnieniami o podróży, które zawsze będziemy w sobie pielęgnować, i z miłością, która na nowo w nas rozkwitła. Mogliśmy od małego pokazywać dzieciom różne możliwości, które życie stwarza każdemu z nas, nauczyć ich wybierać drogę życiową z otwartym umysłem i sercem, bez oglądania się na to, co mogą pomyśleć sobie inni. I kto wie, może któregoś dnia zabierzemy je w kolejną podróż, aby im pokazać te wszystkie rozmaite światy, z których każdy ma dla nas jakąś ważną lekcję?

Kiedy przyjdzie czas, pokażemy naszym dzieciom cały świat. Jak Alec i Sophie ze swoim synem, nauczymy je dostrzegać różnicę między własnym i narzuconym z zewnątrz wyborem drogi życiowej.

Po całym przedpołudniu żeglowania przekroczyliśmy rafę biegnącą wzdłuż wschodniego brzegu wyspy Norfolk. Z tego miejsca widać było domy bardzo podobne do tych z naszego ojczystego Auckland, ponieważ Norfolk należy do Australii i jest zamieszkała przez białych osadników z Anglii i Australii.

Dzisiaj jest to jeden z ulubionych kurortów australijskich i nowozelandzkich urlopowiczów. Wyspa była już zamieszкана, kiedy w 1774 roku „odkrył” ją kapitan Cook. Najpierw wykorzystywano ją jako brytyjską kolonię karną, a potem przesiedlono tutaj mieszkańców wyspy Pitcairn, potomków tahitańskich kobiet i angielskich marynarzy, którzy przybyli tutaj na pokładzie osławionego „Bounty” — angielskiego statku, na którym podczas żeglugi po południowym oceanie wybuchł bunt.

Widok rzeczy, które przypominały nam naszą ukochaną Nową Zelandię, wzbudził w nas poczucie, że już jesteśmy w domu. Stado rozigranych delfinów powitało nas skokami i zawołaniami, kiedy wpływalismy do laguny. Piękne wybrzeże było porośnięte bujną roślinnością, w tym niezlicznymi palmami. Płytką, lecz czarująca rafa, tętniącą życiem, chroniła wyspę i „Dalekie Wiatry” przed spienionymi falami.

Późnym popołudniem zarzuciliśmy kotwicę w pobliżu pięknego, krystalicznego wodospadu, który chlustał znad klifu. Wodna kurzawa mieniła się wszystkimi kolorami tęczy. Widok był magiczny i znajomy. Postanowiliśmy spędzić resztę dnia na „Dalekich Wiatrach”, starej łodzi, którą kupiliśmy dawno temu w Auckland i na której czuliśmy się jak w domu. Nauczyliśmy się, że łódź ta zabierze nas, gdzie tylko zechcemy, jeśli tylko będziemy dostatecznie wytrwali.

- Gail?
- Tak, kochanie?
- Tak sobie myślałem...
- O czym?

Usiadłem na pokładzie i w jasnopomarańczowym świetle księżycy patrzyłem na miliony gwiazd.

— Dużo myślałem o panu Blake'u i o tym, co się z nami stało podczas tej podróży. Chyba rozumiem, co chciał osiągnąć w swoim życiu, ale dalej nie do końca pojmuję, dlaczego akurat my.

— Co masz na myśli?

— No wiesz, czarodziejska książka, te wyjątkowe przeżycia... Że to się dzieje akurat z nami.

— Ty nadal nie łapiesz, prawda? — spytała z uśmiechem Gail.

— Co? — odparłem trochę zły.

— To się nie dzieje tylko z nami, kochanie. To się dzieje wszędzie, na całym świecie. Nie widziałeś wyrazu twarzy ludzi na wszystkich wyspach, które odwiedziliśmy? Może łatwiej jest nam się zaprzyjaźnić z takimi ludźmi jak Alec i Sophie, bo mamy podobne marzenia, ale z innymi dzieje się to samo, tylko w inny sposób. Nie pamiętasz, co się działo w miastach? Nie zauważyłeś, że mnóstwo ludzi w średnim wieku odchodzi na emeryturę, a przynajmniej zaczyna pracować na część etatu i kupuje harleya davidsona, przyczepę czy jacht, o którym zawsze marzyli? Nie ze względu na ich wartość materialną, ale ze względu na miejsca, które dzięki nim mogą odkryć. Nie widzisz, jak wiele osób bierze dłuższe urlopy, nie myśląc o karierze i przyszłości finansowej? Ludzie spędzają więcej czasu ze swoimi dziećmi i wnukami. Nie zda-

jesz sobie sprawy, w czym myśmy uczestniczyli przez ostatnie osiem miesięcy?

Jej oczy pałały jak węgielki.

— Mam odpowiedź na twoje pytanie.

— To powiedz mi, bo wiesz, że ja wiem, co zamierzasz powiedzieć — odparła Gail.

Wzięłem ją za rękę i pocałowałem ją.

— Żyjemy pełnią życia. Mam poczucie, jakbym żył tysiąc razy jednocześnie.

— Tak, kochanie — odrzekła Gail. — Mnóstwo ludzi zaczyna żyć pełnią życia, każdy na swój jedyny w swoim rodzaju sposób. Chyba zaczynamy sobie uświadamiać, że nie mamy nic oprócz tego wyjątkowego i bezcennego życia, którym zostaliśmy obdarzeni i że liczy się każda sekunda, kiedy człowiek chce zbudować życie pełne sensu i celu.

Cisza, która zapadła po tej rozmowie, była wyjątkowa, ponieważ nie zostało już nic więcej do powiedzenia. Byłem zachwycony, że chociaż rozpoczęliśmy tę rozmowę w gorączkowych nastrojach, ani przez moment nie próbowaliśmy zranić partnera, wyrażając nasze myśli, jak to nam się zdarzało w przeszłości. Nauczyliśmy się myśleć inaczej, a jednocześnie szanować się nawzajem, chronieni głęboką miłością, którą się darzyliśmy. Odeszły w przeszłość bezsensowne dyskusje, które o mało nie zniszczyły naszego związku i miały tylko jeden cel: zranić drugą osobę. Naprawdę nauczyliśmy się kochać, we wszystkich znaczeniach tego słowa, i było to bardzo

przyjemne uczucie. W małym świecie „Dalekich Wiatrów” i naszych marzeń znaleźliśmy prawdziwe światło, którego tak rozpaczliwie poszukiwaliśmy i które symbolicznie nas łączyło z milionami innych ludzi na całym świecie.

Długo się obejmowaliśmy, chłonąc energię prawdy, którą właśnie odkryliśmy. I oczywiście wiedzieliśmy, co się zaraz stanie.

Poczuliśmy lekki wietrzyk z zachodu i coś nam mówiło, że książka otrzymana od Thomasa Blake'a otworzy się po raz ostatni podczas tej podróży.

Zajrzeliśmy do niej, ale zamiast wiersza pojawiło się tam opowiadanie. Czytaliśmy w milczeniu.

*Z dala od zgiełku cywilizacji pewien człowiek poszedł do lasu, żeby pod rozgwieżdżonym niebem i obok prądkiego wodospadu dać odpocząć duszy.*

— *Co robisz w tę piękną gwiazdzistą noc?* — *spytał wodospad.*

— *Daję odpocząć duszy* — *odparł znużony wędrowiec.*

— *Dajesz odpocząć duszy?* — *powtórzył wodospad.* — *Od czego?*

— *I tak nie zrozumiesz* — *powiedział mężczyzna.* — *Po-dziękuj górcom i strumieniowi, który cię tutaj trzyma, z dala od hałasu świata, tu, gdzie twoja muzyka wlewa spokój w moją duszę.*

*Wodospad milczał przez chwilę i zastanawiał się.*



— To raczej ty powinieneś podziękować góróm i strumieniowi — powiedział — że nigdzie cię nie trzymają. Zostałeś obdarzony prawem wyboru i możesz chodzić, gdzie tylko zechcesz, a mimo to twoja dusza potrzebuje odpoczynku? Żałuję, że nie mogę pójść z tobą i usłyszeć zgiełku cywilizacji, zobaczyć świata, z którego przychodzisz.

Przybysz nigdy nie zapomniał słów wodospadu. Minął rok i najgorsza susza za ludzkiej pamięci spustoszyła lasy na wyspie, na którą kiedyś pojechał, żeby dać odpocząć duszy. Kiedy tam powrócił, strumień był całkiem wyschnięty, a w miejscu, gdzie dawniej szumiął wodospad, były tylko zimne i suche kamienie.

— Nie smuć się z powodu wodospadu — powiedział daleki wiatr — bo zamienił się w chmurę, która teraz okrywa cię cieniem. Naucz się widzieć rzeczy w świetle prawdy, a zostaniesz obdarzony zrozumieniem. Wodospad odkrył, że jednak ma wybór. Teraz stał się chmurą, która prędzej czy później zamieni się w deszcz, a potem... kto wie? Kiedy odbędzie podróż do cywilizacji, może znowu zechce stać się szumiącym wodospadem. Całe stworzenie ma bowiem wybór, akt wyboru zaś nadaje sens życiu każdej istoty.

— A gdzie jest moje miejsce w tym wiecznym cyklu? — spytał obcy.

— Powinieneś jeszcze raz przyjrzeć się temu, czego się nauczyłeś. Obserwuj i zrozum rzeczy, które się dzieją wokół ciebie. Wszystkie są częścią ciebie, a ty jesteś częścią ich. Potem będziesz mógł dokonać wyboru.

*Przybysz zrozumiał, co powiedział do niego daleki wiatr.  
Aby znaleźć cel życia, świadomie i bez ograniczeń, trzeba udać  
się na poszukiwania.*

*Spojrzał na niebo i zobaczył szumiący wodospad przebrany  
za białą kulę waty, z której spadł deszcz. „To jest szumiący  
wodospad”, pomyślał. Zaprawdę wszystko jest jednym, jak po-  
wiedział daleki wiatr.*

*Obcy spokojnie powrócił więc do zgiełku cywilizacji, gdzie  
było jego miejsce, tak samo jak deszcz stał się strumieniem i po-  
wrócił tam, gdzie było jego miejsce. Mężczyzna odkrył bowiem  
cel swojego życia: podzielić się z bliźnimi skarbami, które od-  
krył.*

Thomas Blake

Milczeliśmy przez chwilę ze łzami w oczach, myśląc o tym, że Thomas Blake był tutaj na długo przed nami, siedział na tej samej łodzie i patrzył na ten sam strumień. Myśleliśmy o tym, co czuł i co odkrył dla siebie, idąc za wewnętrznym głosem, głosem swojej duszy. Teraz, zgodnie z obietnicą, mówił do nas, szczęściarzy.

Gail odezwała się pierwsza.

— Czyli Thomas Blake poznał prawdziwą naturę rzeczywistości i tym samym dowiedział się, kim naprawdę jest.

— A mianowicie?

— Dowiedział się, że jest nauczycielem i że musi szerzyć wiedzę o tym, co widział, ale w bardzo szczególny sposób. Mu-

siał nauczyć ludzi, że aby być naprawdę wolnym, trzeba z pewnych rzeczy zrezygnować, i że musimy widzieć świat takim, jakim on naprawdę jest, a nie takim, jakim nam się czasami wydaje.

Przez chwilę milczałem i zastanawiałem się.

— Chyba się nauczyliśmy, że nie wszystkich rzeczy, które chcemy, naprawdę potrzebujemy — powiedziałem. — Pytanie brzmi, Gail, gdzie przebiega granica.

— Trudno powiedzieć — odparła. — Sądzę, że im bardziej rozwijamy się duchowo, tym wyraźniej ją widzimy. Często poświęcamy więcej czasu planowaniu urlopu niż zastanawianiu się, jak spędzimy resztę życia. Chyba dlatego czasem życie przechodzi obok nas. Nie kwestionujemy naszej codziennej rutyny i zamiast dążyć do odkrycia bardziej ekscytującego i pełniejszego życia, skupiając się na całości obrazu, po prostu płyniemy z prądem. Zapominamy, że istnieje cały świat, który czeka na to, żebyśmy go odkryli, zobaczyli i podziwiali. Musimy tylko dać sobie czas na to, żeby go dostrzec.

## Rozdział XIX



**D**ALEKIE Wiatry" zbliżały się do Nowej Zelandii i nasza wyprawa dobiegała końca.

Opuściliśmy Norfolk z ciepłymi uczuciami. Podczas spędzonych tam dni traktowano nas jak swoich. Mieszkańcy opowiadali nam swoje historie i słuchali naszych. „Jak łatwo człowiek wszędzie znajduje przyjaciół, kiedy otwiera się na innych”, pomyślałem.

Między naszą ojczyzną a nami nie było żadnego ładu. Żeglowaliśmy z niezbyt silnym wiatrem, dzięki któremu powrót do domu zaczął się bardzo przyjemnie. Później jednak, kiedy patrzyliśmy na ocean, ogarnął nas smutek, który nie chciał odejść. To nie była już bezkresna połać wody, tylko nowy przyjaciel, którego mieliśmy nigdy nie utracić. Wiedzieliśmy jednak, że na suchym lądzie będzie nam brakowało tych chwil magicznej samotności, do których tak się przyzwyczailiśmy, mimo obaw z początków podróży. Trochę się baliśmy, bo już nigdy nie miało być tak samo. Nie dało się wrócić do dawnego

sposobu myślenia, skoro zobaczyliśmy świat własnymi oczami, mając za przewodnika czarodziejską książkę otrzymaną od człowieka, który chciał się podzielić ze wszystkimi bogactwem swoich doświadczeń i wiedzy.

— Co teraz zrobimy, Michael? — spytała nagle Gail.

— Co masz na myśli?

— Co zrobimy z naszym życiem? Wiem, że w głębi serca myślimy tak samo: już nigdy nie będziemy tacy jak dawniej i ciężko będzie się przyzwyczaić do tego, co robiliśmy przed podróżą. Będziemy na to patrzyli innym wzrokiem.

Noc była bezchmurna i rozgwieżdżona. Wszędzie pokazywały się jasne konstelacje. Boże, kiedy żyłem pośród sztucznego światła wielkiego miasta, w ogóle nie pamiętałem o istnieniu gwiazd! A tutaj wszystkie migotały na ciemniejącym niebie, Krzyż Południa zaś, klejnot w koronie, wskazywał nam drogę do domu.

— Chyba będziemy musieli żyć z dnia na dzień — powiedziałem. — Czy to nie jest jedna z rzeczy, których się nauczyliśmy? A potem, kiedy przyjdzie czas na decyzję, to ją podejmiemy. Nauczyliśmy się być wolni, Gail. Już zawsze będziemy wolni. Nie ma powodu, żeby to, czego się nauczyliśmy podczas tej podróży, nie dało się zastosować w świecie, do którego wracamy. I w każdym innym świecie. Będziemy musieli użyć naszego instynktu i wyobraźni, żeby połączyć dwa światy, do których teraz należymy.

— Jesteśmy teraz piętnastoletnimi zakochanymi marzycielami — powiedziała Gail — tyle że z zewnątrz wygląda-

my na starszych i mamy za sobą więcej życia. Ale mieszkające w nas dziecko znowu się przebudziło i możemy się cieszyć prostymi życiowymi radościami i stać się prawdziwymi ludźmi. A ty odzyskałeś ten blask w oczach, który pochodzi z twojej duszy i sprawia, że cię kocham w każdej sekundzie mego życia.

Uśmiechnęła się z oczami mokrymi od łez.  
Jeszcze raz powiał łagodny wiatr z zachodu:

*Ryzykowne  
jest w życiu tylko  
unikanie ryzyka.*

Gail i Michael

Patrzyliśmy na siebie, bo nie było już nic więcej do powiedzenia. Sądziliśmy, że książka już się więcej nie otworzy, ale przemówiła jeszcze raz, bo sami coś wymyśliliśmy. Teraz, kiedy już obejrzelśmy z zapartym tchem kolejny przepiękny zachód słońca, po prostu chłonęliśmy mądrość chwili. Wiedzieliśmy, że na wiele pytań może nam odpowiedzieć tylko przyszłość, ale jedno było dla nas jasne: znowu się w sobie zakochaliśmy na zabój. Zakochaliśmy się nie we wspomnieniach, lecz w marzycielach, którymi znowu byliśmy.

## Rozdział XX



**Z**NAJDOWALIŚMY się pięćdziesiąt mil morskich od portu w Auckland, po przebyciu w niecały rok ponad sześciu tysięcy mil.

W środku nocy zbudziła nas nagła zmiana pogody. Morze, gładkie i spokojne, kiedy szliśmy spać, teraz się piekliło. Coraz większe fale z wściekłością poniewierały „Dalekimi Wiatrami”. W komitywę z oceanem weszło niebo, które zaciągnęło się ciemnoaksamitną powłoką chmur, od czasu do czasu rozrywana przez błyskawice. Musieliśmy jak najszybciej dotrzeć do zatoki.

To nagłe załamanie się pogody nie było przelotne, tylko zapowiadało się na potężną burzę z piorunami. Ogromne fale łomotały w dziób naszych dzielnych „Dalekich Wiatrów”. Można było odnieść wrażenie, że ocean nie chce nam pozwolić, abyśmy dopłynęli do macierzystego portu. Nawałnica przybierała na sile. Nigdy wcześniej nie przeżyliśmy takiej burzy

na otwartym morzu i wiedzieliśmy, że jesteśmy w poważnych tarapatkach. Szykowaliśmy się na najgorsze.

— Gail, przejmij na chwilę ster, ja tymczasem skontaktuję się z Auckland. Przytnij się liną. Przyniosę kamizelki ratunkowe.

— Dobrze, kochanie, ale pospiesz się — powiedziała spokojnym głosem, w którym wyczułem jednak nutkę paniki.

Wszedłem do kabiny i usiłowałem nawiązać łączność z władzami portowymi.

— Auckland, tu „Dalekie Wiatry”, zgłóście się.

Brak reakcji. Spróbowałem jeszcze raz.

— Auckland, tu „Dalekie Wiatry”, zgłóście się.

„Może jestem na złej częstotliwości”, pomyślałem i przekręciłem gałkę radia.

— „Dalekie Wiatry”, tu port w Auckland. Bardzo słabo was odbieramy.

— Auckland, dziękuję za odpowiedź. Znajdujemy się pięćdziesiąt mil morskich na północny wschód od zatoki Waitemata. Wpływamy w obszar sztormowy. Potrzebujemy bardziej szczegółowych informacji o warunkach pogodowych...

— Na Boga, co wy tam robicie? — powiedział głos w radio.

— Wracamy z Nowej Kaledonii i chcemy dopłynąć do Auckland.

— „Dalekie Wiatry” — powiedział głos po dłuższej chwili milczenia — dzisiaj rano wydaliśmy komunikat dla wszystkich jednostek, w którym ostrzegaliśmy: na wschodzie



kraju tworzą się silne wiatry i burze, które przesuwają się nad morze. Zmierzają prosto ku wam. W tych warunkach nie możemy wam w żaden sposób pomóc. Informujcie nas na bieżąco i nie zapomnijcie uruchomić nadajnika awaryjnego, jakby nie daj Boże coś się stało.

— Przyjąłem, Auckland, tak zrobimy.

— Powodzenia, „Dalekie Wiatry” — powiedział zmartwiony głos.

— Dziękuję — odparłem.

„Gail i ja znowu jesteśmy zdani tylko na siebie”, pomyślałem. „Nie wpadaj w panikę. Zachowaj spokój i wykorzystaj wiedzę, którą zdobyłeś podczas tej podróży. Jeszcze nigdy nie miałeś do czynienia z takim sztormem, ale to nie znaczy, że nie dasz sobie z nim rady”.

Na tle wycia wiatru usłyszałem krzyk Gail.

— Pospiesz się, Michael! Już ledwo wytrzymuję.

Wziąłem kamizelki ratunkowe, włączyłem sygnał SOS i wyszedłem do kokpitu. Pogoda szybko się pogarszała.

— Dziękuję, Gail, teraz ja posteruję. Proszę, sprawdź, czy wszystkie liny są naprężone i czy płetwa sterowa nie jest uszkodzona.

Zabezpieczyłem forpik, wszystkie luki i okna. „Woda nie ma się którędy wlać”, pomyślałem. Potem wróciłem do kokpitu i zamknąłem wszystkie wodoszczelne suwane luki.

Przeżyliśmy podczas naszej wyprawy wysokie fale i krótkotrwałe sztormy, ale czegoś takiego jeszcze nie. Ocean zdawał się prężyć muskuły, a czterometrowe fale poddawały pró-

bie siłę charakteru „Dalekich Wiatrów”, łomocząc w łódź ze wszystkich stron. Znajdowaliśmy się w oku cyklonu. Gdzie tylko spojrzeć, widzieliśmy błyskawice i coraz większe fale. Deszcz bębnił tak mocno, że aż bolało. „Dalekie Wiatry” były atakowane na wszystkich frontach. Ledwo zdążyłem przypiąć się liną, kiedy przez pokład przetoczyła się fala.

— Michael?

— Tak, Gail?

— Kocham cię!

— Ja też cię kocham!

— Jest coraz gorzej, prawda?

Nie mogłem jej okłamywać.

— Tak, Gail, jest coraz gorzej, ale nie możemy się poddawać!

— Wiem!

Oboje musieliśmy krzyczeć na całe gardło, bo wiatr natychmiast porywał nasze słowa. Deszcz padał z taką prędkością i siłą, że czuliśmy się jak pod wodospadem. Bębnienie przeszło w jeden ciągły huk.

Gail zeszła do maszynowni, aby sprawdzić, czy pompy działają. Po chwili wróciła. Zerknąłem ku niej i natychmiast zauważyłem, że jest przerażona.

— Michael, zalewa zęzę!

— Pompy działają?

— Tak, kochanie, ale nie dają sobie rady z taką ilością wody.

— Dobra, Gail, uspokój się. Zejdź na dół i zacznij wyrzu-

cać za burtę wszystkie meble i rzeczy, których nie potrzebujemy. Dzięki temu dłużej utrzymamy się na powierzchni.

— Dobra, kochanie. — Nie ruszyła się jednak z miejsca.  
— Wiesz, co sobie właśnie uświadomiłam?

— No?

— Że nie boję się umrzeć tutaj z tobą. Umrzec tutaj z tobą to nie jest grzech. Grzechem byłoby nie zakosztować życia w całej jego krasie.

Patrzyliśmy na siebie i pośród furii żywiołów wymieniliśmy uśmiechy.

— Mimo wszystko spróbujmy nie umrzeć.

Mocny wiatr przerodził się prawie w huragan. Gorączkowo spuściłem główny żagiel, zostawiając tylko foka sztormowego, mały trójkąt brezentu na dziobie. Silnik pracował na pełnych obrotach i „Dalekie Wiatry” z wielkim trudem trzymały kurs. Sterowanie było prawie niemożliwe. Rzucało nami, wielkie fale wskakiwały na pokład i woda zaczęła przedostawać się do kokpitu. Gdybyśmy nie byli przypięci liną zabezpieczającą, przywiązaną do stalowego oczka, to by nas zmyło za burtę. Kil się trzymał, ale jak długo? Wiedziałem, że jeśli pęknie, to koniec. Będziemy kręcili się w kółko, dopóki jakaś gigantyczna fala nas nie zatopi. I nie było sensu nadmuchiwać tratwy ratunkowej. Przy takim sztormie nie miałyby żadnych szans.

Gail była wykończona, próbując wyrzucić za burtę wszystkie meble, żeby ulżyć „Dalekim Wiatrom”. Widziałem, że jest bliska kapitulacji.

Nagle przyszedł „smooth”. Czytałem o tym. Tak się nazy-

wa kilkusekundowa przerwa przed następną olbrzymią falą. Wiedziałem, co muszę zrobić.

— Gail, idź do kabiny. Natychmiast!

— Co ty mówisz, Michael? Nie zostawię cię samego.

— Idź! Tu, na górze, zginiesz. Włącz światło awaryjne i zostań na dole. Szybko!

Utkwiła we mnie wzrok. Było dla mnie jasne, że chce zostać, ale wiedziała równie dobrze jak ja, że jeśli zostanie na górze, to znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Pojawiły się pierwsze symptomy hipotermii, które jeszcze bardziej ją osłabiały. Otworzyła luk i zeszła na dół. Zdażyłem zabezpieczyć luk, zanim potężna fala rozbiła się o „Dalekie Wiatry”.

Ogromna siła fali tak mocno szarpnęła łodzią, że wyrzuciło mnie za burtę. Poszedłem pod wodę, ale tylko trochę, bo lina zabezpieczająca się naprężyła. Łódź była przechylna w moją stronę, przeważona przez mój ciężar. Głowę miałem tuż nad wodną kipiela. Musiałem się stamtąd wydostać. Zacząłem się podciągać na linie zabezpieczającej, ale uderzyła we mnie fala i straciłem oparcie pod nogami. Zacząłem od nowa, ale kiedy chwyciłem się palcami nadburcia, spadła na mnie kolejna fala. „Dalekie Wiatry” o mało się nie przewróciły, zabrakło może jednego metra. Ze wszystkich sił trzymając się nadburcia, modliłem się do Boga, żeby jacht się wyprostował. Kiedy to się stało, podciągnąłem się na pokład i zacząłem iść pod wiatr, żeby dotrzeć do masztu.

Byłem bliski paniki. „Czy to już jest koniec?“, pomyślałem. Oczami duszy widziałem Gail, która modli się za nas oboje śmiertelnie przerażona. Czy życie udowodni, że cały czas się myliliśmy, pokaże nam, że porwaliśmy się na coś, co przekracza nasze możliwości?

Chciałem skapitulować. Nie miałem już siły. Nagle, chociaż z powodu gęstego deszczu widzialność była bliska zeru, zobaczyłem niewyraźną postać mężczyzny, który przytrzymał sztormowego foka.

„Czyżbym tracił rozum? Zaczynam mieć halucynacje?“, pomyślałem. Słyszałem, że jest to jeden z pierwszych objawów hipotermii, i byłem przekonany, że jest to początek końca. Bardziej niż wszystko inne chciałem spędzić te ostatnie chwile z Gail. Chciałem poprosić moją żonę, którą odnalazłem podczas tej wyprawy, o wybaczenie, że nie zawsze byłem dla niej oparciem. Wtedy śmierć by tak bardzo nie bolała.

Ale wtedy stało się coś niesamowitego. Zjawa zrzuciła foka, dzięki czemu „Dalekie Wiatry“ częściowo odzyskały manewrowość. Rozpaczliwie brakowało mi powietrza, które wciągałem krótkimi, panicznymi haustami. W tym czasie „Dalekie Wiatry“ powoli się wyprostowały i bezpośrednie zagrożenie na razie minęło.

Zjawa odwróciła się do mnie i uśmiechnęła. Potem na tle ryku wiatru usłyszałem znajomy głos.

*„Życzę cudownego życia, Michael“.*

Nie wierzyłem własnym uszom.

— Pan Blake?

„*Życzę cudownego życia, Michael*”, powiedział i odwrócił się w tę stronę, w którą wiał wiatr.

W tym samym momencie przez pokład „Dalekich Wiatrów” przetoczyła się ogromna fala. Kiedy znowu zacząłem coś widzieć, jego już nie było.

Zrozumiałem, co chciał mi powiedzieć. Zjawił się w momencie, kiedy miałem już dać za wygraną. Był dłonią, którą od dzieciństwa tak często w życiu odczuwałem, pomagał mi, kiedy byłem w największej potrzebie. Uświadomiłem sobie, że muszę walczyć. Łagodny wiatr, który tyle razy pokazywał nam piękno świata, tym razem sprawdzał nasz hart ducha i domagał się stanowczej odpowiedzi.

Moja panika zniknęła i wstąpiły we mnie nowe siły, których nigdy wcześniej nie zaznałem.

— Nie umrę dzisiaj! — krzyknąłem do wiatru. — Przeżyję i będę miał cudowne życie!

Mocno chwyciłem za ster. Ogarnął mnie niesamowity spokój. Musiałem walczyć.

— Wszystko w porządku, Michael?

Nagle się obudziłem.

— Gail?

— Wszystko w porządku, Michael? — powtórzyła.

Spojrzałem na nią, a potem na niebo. Wszystkie chmury, które tam wisały, aby poddać nas próbie, zniknęły. W górze

ciągnęło się jasnoblękitne niebo, które w oddali spotykało się ze szmaragdowymi wodami. Nie było śladu po zdarzeniach, podczas których otarliśmy się o śmierć.

— Co się stało? — zapytałem, powoli odzyskując świadomość.

— Pokonałeś sztorm, kochanie. Minęło ponad dwanaście godzin, odkąd cię zostawiłam tu na górze. Myślałam, że wszystko stracone. Woda zaczęła się dostawać do kabiny. Pompy nie dawały sobie rady, więc musiałam wyrzucić wszystkie meble i sprzęty. A potem zobaczyłam, jak krzyczysz coś do wiatru. Zeszłam na dół, zamknęłam luk i modliłam się za nas oboje. Dużo, dużo później poczułam, że wiatr słabnie i morze się uspokaja. Kiedy do kabiny wpadły promienie słońca, wiedziałam, że mogę bezpiecznie otworzyć luk. I wtedy zobaczyłam, jak siedzisz tam, gdzie cię zostawiłam, jakby za hipnotyzowany, z takim spojrzeniem, jakiego nigdy wcześniej u ciebie nie widziałam.

— Jakim spojrzeniem?

— Jakbyś zobaczył coś nadprzyrodzonego.

Wstałem i rozejrzałem się po spokojnych wodach oceanu.

— Widziałem anioła, Gail.

— Co widziałeś?

— Nieważne. Kiedyś ci opowiem.

Objęła mnie.

— Dziękuję, że uratowałeś nam obojgu życie.

Byłem taki wzruszony, że ledwo mogłem mówić. Pocało-

wałem ją. Potem znowu się położyłem i oparłem głowę na jej kolanach. Nie miałem w sobie ani krzty siły. Zanim znowu zemdlałem, powiedziałem:

— Nigdy nie zapominaj, że musimy mieć cudowne życie, Gail. Nigdy.



## *Epilog*

**O**D POWROTU do Auckland minęły dwa tygodnie. Zdążyliśmy przez ten czas całkowicie zregenerować się psychicznie i fizycznie. Nowozelandzka straż przybrzeżna zabrała nas blisko wejścia do zatoki Waitemata. Do tej pory nie rozumieli, w jaki sposób przeżyliśmy. Nigdy wcześniej nikt nie przeżył tak silnego sztormu i wszystko, co potrafili nam powiedzieć, to że nasze ocalenie to był cud.

Wróciliśmy do dawnego życia i zaczęliśmy szukać pracy. Chociaż naprawdę się staraliśmy, było trudniej, niż się spodziewaliśmy. Postanowiliśmy jednak nie spieszyć się z planami na przyszłość i poczekać na moment, kiedy nasze serca nam powiedzą, co dalej zrobić.

Na razie uznaliśmy, że fajnie byłoby zaprosić niektórych starych znajomych na kolację i opowiedzieć im o naszej wyprawie. Gail obdzwoniła ich i wszyscy z radością przyjęli zaproszenie.

Podaliśmy pyszną kolację złożoną z egzotycznych dań, któ-

re nauczyliśmy się gotować na odwiedzanych przez nas wyspach. Potem opowiadaliśmy o naszej wyprawie, o niesamowitych miejscach, które widzieliśmy, o ludziach, których poznaliśmy, i o sztormie, który nas dopadł tuż przed powrotem do domu.

— Przywieźliście jakąś pamiątkę z podróży, Gail? — spytał Peter, jeden z naszych znajomych.

— Szczerze mówiąc, nie — odparła Gail. — Niestety podczas sztormu straciliśmy prawie wszystko, co mieliśmy. Ale zachowaliśmy nasz najcenniejszy skarb.

— Czyli co? — dociekał Peter.

— Książkę z aforyzmami. Większość z nich powstała podczas podróży.

— Możemy zobaczyć?

— Jasne, czemu nie? — odparła Gail.

Poszła do sypialni i przyniosła drewnianą skrzyneczkę. Wręczyła Peterowi książkę ze wszystkimi lekcjami, które tak wiele dla nas znaczyły. Książka krążyła między naszymi znajomymi, którzy mieli zaskoczone miny i nie wiedzieli, co powiedzieć.

— Co się stało? — spytałem.

Zaczęli coś szeptać między sobą. Nagle Peter parsknął śmiechem, a inni poszli w jego ślady.

— To ma być żart? — spytał Peter.

— Dlaczego? — zdziwiłem się.

— Dlaczego? Sam zobacz.

Wzięłem od niego książkę i pokazałem Gail. Otworzyliśmy:

*Łatwo jest wśród ludzi słuchać opinii  
innych; w samotności łatwo jest  
kierować się własnymi poglądami  
ale wielki jest ten  
kto pośród tłumu potrafi bez ostentacji  
zachować niezależność  
którą wyrobił sobie w samotności.*

— Emerson — powiedziałem.

— Zgadza się — odparła Gail.

W pokoju zapadła cisza. Gail i ja patrzyliśmy na siebie. Nie słuchaliśmy tego, co mówili nasi znajomi, bo nadal nie widzieli tekstu.

— Dobry żart, kochani! — zawołał Peter. — Nie dość, że umiecie gotować pyszne egzotyczne potrawy i mieliście cudowną wyprawę, to jeszcze nauczyliście się czytać książki, które zawierają same puste kartki!

Cały pokój zaniósł się śmiechem.

Wróciliśmy na przystań, na której poznaliśmy „Dalekie Wiatry”. Tam zaczęła się nasza magiczna przygoda. Pan Roberts zaproponował nam odkupienie jachtu, który okazał się taki wytrzymały. Jego oferta była całkiem godziwa. W końcu zostawiliśmy „Dalekie Wiatry” panu Robertsowi, ale najpierw po raz ostatni poddychaliśmy na jego pokładzie. Było to pożegnanie z przyjacielem, który tak bardzo nam dopomógł w odzyskaniu naszej miłości, nie żądając niczego w zamian.

„W czasach, w których żyjemy, trudno o takich przyjaciół, jak »Dalekie Wiatry«, pomyślałem. Było nam bardzo smutno, kiedy sprzedawaliśmy łódź, ale wiedzieliśmy, że nie była to jej ostatnia morska wyprawa.

— Pamiętasz, co powiedzieliśmy panu Robertowi o „Dalekich Wiatrach”, Gail?

— Oczywiście. To był dobry pomysł, żeby mu powiedzieć, że nie ochrzcziliśmy jachtu. Może dzięki temu następny właściciel zobaczy oczami prawdy, co znaczy ta łódź, nie znając jej nazwy. Będzie ją musiał sam odkryć.

— Tak. Nikt nie może mieć „Dalekich Wiatrów” na własność, ale łódź może nas zabrać w cudowne miejsca i pomóc zrealizować marzenia.

Gail usiadła. Miała smutną minę.

— Czuję się bardzo samotna.

— Ja też czuję się samotny. Nasi znajomi wyraźnie nie umieją zrozumieć tego, czego się nauczyliśmy podczas naszej wyprawy. Ta podróż zmieniła i wzbogaciła nasze życie i chyba mamy obowiązek przynajmniej podzielić się z innymi tym, co widzieliśmy i przeżyliśmy. Teraz musimy się nauczyć, jak przekazywać tę wiedzę innym poszukującym. Ludziom, którzy myślą tak jak my i czekają na sygnał do skoku na głęboką wodę. Tak samo jak Thomas Blake pomógł nam.

— Jak się do tego zabierzemy? — spytała Gail

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

— Może powinniśmy napisać książkę o wyprawie. Opowiedzieć innym o naszych przygodach, miejscach, które od-

kryliśmy, i lekcjach, których się nauczyliśmy, poszerzając horyzonty naszego myślenia. Przekazać myśli przyjaciół, którzy nam pomogli, jak również nasze własne. Możemy to wszystko spisać, aby inni się dowiedzieli, że takie przeżycie może na zawsze zbliżyć do siebie dwie osoby.

Urwałem i spojrzałem na moją piękną żonę.

— Teraz wiem na pewno — podjąłem — że każdy może zrobić to, co my zrobiliśmy, kochanie — zrealizować marzenia i stać się lepszym człowiekiem, każdy na swój wyjątkowy sposób.

— Książka... — zamyśliła się Gail. — Uważam, że to świetny pomysł. Jak ją zatytułujemy?

— Jest tylko jeden możliwy tytuł, kochanie, wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Spojrzała na mnie badawczo i uśmiechnęła się.

— A zatem „Dalekie Wiatry”!

Książka, która stała się naszym najlepszym przyjacielem, znowu się otworzyła.

*Prawdziwa podróż życia  
polega nie tylko na szukaniu  
nowych światów  
ale także na oglądaniu własnych  
oczami prawdy.*

Wymieniliśmy spojrzenia.

— Blake — powiedziałem.

— Zgadza się. Michael? — podjęła Gail po chwili milczenia.

— Tak, kochanie?

— To jest ostatnia strona.

— Wiem. Ta książka już nam dostatecznie pomogła. Teraz musimy polegać na sobie samych i naszej miłości. Pamiętać, kim naprawdę jesteśmy.

— Wiem. Nie musiałeś tego mówić. — Urwała zapatrzona w dal. — Myślisz, że będzie więcej takich ludzi jak Alec i Sophie? Albo jak Thoreau, Emerson, Blake i inni? Takich jak my?

— Oczywiście. Teraz nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Jestem pewien, że na całym świecie można znaleźć ludzi, którzy snują swoje marzenia.

— Dobrze to wiedzieć — odparła Gail. — Świat nareszcie staje się bardziej uduchowiony i coraz więcej ludzi uczy się doceniać prawdziwe skarby życia, których nie można kupić ani sprzedać.

Włożyłem książkę do skrzynki i zamknąłem wieczko. W tym momencie podeszła do nas para, która wcześniej przechadzała się tam i z powrotem po mola.

— Przepraszam pana! — zawołała dziewczyna.

— Tak?

— Czy wie pan, kto jest właścicielem tego sklepu z łódziami na końcu mola?

— Tak. Pan Roberts. A co, chcecie kupić łódź?

— Tak — odparł miody człowiek. — Planujemy wyruszyć w daleką podróż.

Gail uśmiechnęła się.

— Zmęczyła was codzienna rutyna i potrzebujecie odmienić swoje życie?

— Tak — powiedziała dziewczyna, trochę zaskoczona bezpośredniością Gail. — Chcemy zobaczyć inne światy, aby się dowiedzieć, kim naprawdę jesteśmy, rozumiecie?

Gail ponownie się uśmiechnęła.

— O tak, doskonale to rozumiemy.

— Jak ci na imię? — spytała Gail szczupłą, rudowłosą dziewczynę.

— Ja jestem Debbie, a to mój chłopak Sam.

Gail spojrzała na mnie. Uśmiechnąłem się.

— Ty to zrób — powiedziałem.

— Debbie i Sam — zaczęła Gail — może to wam się wydać trochę dziwne, bo dopiero co się poznaliśmy, ale Michael i ja chcielibyśmy wam dać prezent na waszą wyprawę. Musicie nam tylko obiecać dwie rzeczy: że go nie otworzycie, dopóki nie wypłyniecie i że cokolwiek się zdarzy...

Bez słowa przytuliłem Gail. Nie wiedziałem dokładnie, co przyniesie przyszłość, ale jednego byłem pewien: że mamy siebie nawzajem i że wzięliśmy nasze życie i naszą miłość w swoje ręce.

To wtedy usłyszałem głos, który dobiegał z mojego wnętrza. Wyjąłem notes i długopis i zacząłem pisać:

*W pięknej krainie Nowej Zelandii, w której się urodziłem, leży Auckland, stolica tego szmaragdowozielonego państwa, często*

*nazywanego „krajną długiego białego obłoku”. Auckland znajduje się nad jedną z najpiękniejszych zatok świata, otoczoną porośniętymi bujną zielenią falistymi wzgórzami Zatoką Waitemata...*

Słońce zaczęło znikać za horyzontem, a niebo wybuchło feerią kolorów. Siedzieliśmy w milczeniu i obserwowaliśmy świat wokół nas. Nie byliśmy ani nastolatkami, ani starcami. W gruncie rzeczy nie miało to znaczenia, bo nauczyliśmy się tego, co umieją tylko ludzie bardzo młodzi i bardzo starzy: siedzieć obok siebie i nic nie mówić, a mimo to odczuwać szczęście płynące z cudu milczenia. Byliśmy teraz jednym, przy czym obie części dawały w sumie coś większego. Pisząc dalej, usłyszałem szepc, który dochodził od morza:

*Życzę cudownego życia...*

